

## "Strzaskana Korona - Najemnik, Rycerz i Łowca" — Alelogin

**Od autora:** Poniższy tekst jest fragmentem mojej powieści. Jestem uczniem liceum i piszę od 2 lat. "Strzaskana Korona" to pierwszy ukończony przeze mnie tekst pisany na taką skalę. Aktualnie staram się doprowadzić książkę do stanu który pozwoli mi ją wydać. W planie jest jeszcze przynajmniej jedna część która już teraz jest na zaawansowanym etapie. Każda konstruktywna krytyka mile widziana. Tekst skopiowałem prosto z mojego "doca" i nie przedstawia swojej ostatecznej wersji.

---

Autor: Wojciech Łysakowski.

### STRZASKANA KORONA

#### -NAJEMNIK RYCERZ I ŁOWCA-

#### PROLOG

“Foe rzekł do brata swego - Cierpienie tworu twojego karmi tych co naszą rodzinę chcą podzielić, twe dzieło już kuszone jest przez wrogów naszych...”

Widzę ludzi tłoczących się na ulicach. Kuleją, niektórzy upadają, aby nigdy więcej już nie wstać. Kaptury na ich głowach ukrywają poznaczone naroślami twarze, rany z których wycieka krew i ropa, ich oczy, te martwe, kiedyś zapewne błyszczące szczęściem oczy. Umierające postaci bardziej teraz przypominające kroczące kukły krążące bez celu, wiedziałem co się z nimi działo tak samo jak wiedziałem, że nie mogę im już pomóc. W oddali widziałem twierdzę, zamek który znałem, dom królów. Zacząłem iść w jego kierunku, nie wiem dlaczego, po prostu musiałem. Kukły ustępowały mi z drogi gdy kroczyłem ku potężnej budowli. Domy po obu stronach brukowanej ulicy były zniszczone, na ich rozpadających się ścianach widniały słowa nabazgrane czarną mazią. “Nadzieja odeszła przed końcem” Mówiły litery wyglądające jak dzieło szaleńca. Uschnięte drzewa stały smętnie, tęskniąc za promieniami słońca. Bramy zamku nie były zamknięte, nie były też jednak otwarte. W żelaznej kracie widniał wielki otwór wyrwany przez jakąś niewyobrażalną siłę. Wkroczyłem na plac, panowała absolutna cisza, nie słyszałem śpiewu ptaków, nie słyszałem dźwięku gałęzi bujających się przy porywach wiatru, wszystko było... martwe... Pomnik pierwszego władcy, niegdyś dumnie stojący na środku placu, leżał teraz roztrzaskany przed głównym wejściem. Pchnąłem wrota prowadzące do wielkiej sali, zabawne, nie poczułem żadnego oporu który powinny stawić wzmocnione stalą, ciężkie drzwi. Pomieszczenie wypełnione było ciałami, szlachta, magnateria, wszyscy leżeli na posadzce otoczeni czarną mgłą. Na końcu sali ujrzałem postaci stojące po dwóch stronach tronu, zakapturzeni starcy, trzymający kostury w bladych, żyłastych dłoniach. Na miejscu w którym powinien siedzieć Król Tcheod siedział inny mężczyzna. Odziany w czarny pancerz, ciemne włosy opadały mu na ramiona, wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, jednak podobnie jak jego to-

warzysze, miał skórę w kolorze alabastru. Na miejscu jego oczu widziałem tylko pustkę, ciemność która wydawała się pożerać wszelkie światło w pomieszczeniu. Uśmiechnął się lekko i przez chwilę chyba oceniał moją osobę. - Witaj - Odezwała się postać, zaskakująco ludzkim głosem, głosem bez cienia wrogości czy zła. - A więc to ty, to ciebie upodobał sobie mój bratanek, no cóż, zawsze miał słabość do umęczonych dusz... Mężczyzna wstał i ruszył powoli w moim kierunku. Dźwięk jego kroków niósł się echem po ogromnym pomieszczeniu, płytki budujące jego pancerz ocierały się o siebie wydając nieprzyjemny, drążący uszy dźwięk. Starcy szli za nim, synchronicznie, niczym fala, cały czas pozostając dwa kroki za postacią w czarnym pancerzu. - Nigdy nie rozumiałem tego zachwytu waszą rasą... - powiedział kładąc mi zimną dłoń na poliku - Tacy... krusi, słabi. Spójrz na siebie, wyniszczone ciało i przeżarty żalem umysł... - uśmiechnął się odkrywając lśniące białe zęby - Zrób coś dla mnie proszę... - spojrzałem w jego wypełnione pustką oczodoły - Nie walcz zbyt długo, bo kiedyś spotkasz osobę która przywróci iskrę nadziei do tego przeżartego smutkiem umysłu. - w tym zdaniu słyszałem niemalże odrazę, obrzydzenie choćby myślą o ludzkiej sentymentalności. - i ja odbiorę ci tę osobę. - Mężczyzna odwrócił się z powrotem w stronę tronu. - A teraz... wracaj do swego koszmaru.

## Rozdział I - Złamany człowiek

"I stworzył Pan człowieka, ale twór jego był słaby, podatny na cierpienie jakie mogło na nań spaść gdy kroczył po tej samej ziemi co Foe..."

Poczułem szturchnięcie.

-Hardy! - burknął Szef - Wstawaj w końcu do cholery, mamy pole bitwy do przeczesania.

Podniosłem się w futrzanym śpiworze, ekipa powoli zbierała swe przynależności, kilku stało już na skraju lasu i obserwowało pogorzelsko. Nasz obóz składał się z dwóch ognisk, wozu oraz dziewięciu rozłożonych posłań.

-No! Ruszże się w końcu łachudro! - zawarczał ponownie nasz znamienity przywódca widząc, że nadal siedzę.

-Na Bogów, spokojnie, trupy nigdzie nam nie uciekną... - odparłem przecierając oczy.

-Trupy nie, ale łupy mogą, więc podnieś swój szlachecki tyłek i zbierz rzeczy. - Powiedział wyciągając z ziemi łopatę po czym odwrócił się i rzucił ją na wóz.

Zwinąłem szybko śpiwór i przywiązałem go do plecaka, przytroczyłem do pasa miecz po czym wciąż zaspiany i nie zjadłszy nawet śniadania ruszyłem za resztą grupy. Wkroczyliśmy na pole, pogorzelsko rozciągało się stąd aż do krańca drugiego lasu, trupy leżały na trupach jak w koszmarnej obrazie jakiegoś odurzonego makiem artysty o niezwykle mrocznych snach. Chłopcy od razu zabrali się za grabienie, najwyraźniej nie mieli podobnych do mnie rozmyślań i skupieni byli raczej na zawartości mieszkań obecnych tu ciał. ja zdecydowałem się przejść trochę dalej, irytowały mnie ich rozmowy więc jeśli mogłem ograniczyć kontakt zamierzałem skorzystać z okazji. Zauważyłem, że niektóre ciała nie były w stanie jakiego spodziewalibyśmy się po takiej walce, niektóre zwłoki Eznarskich żołdaków były rozszarpane, rozdarte na kawałki. Na truchle jednego z koni dostrzegłem ślad po zębach a raczej powinienem był powiedzieć potężną dziurę w boku zwierzęcia. Nagle jeden z żołnierzy kaszlnął wypluwając krew zmieszaną z

flegmą. Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem i próbował chyba prosić o pomoc. Ja w pewnym sensie miałem zamiar spełnić jego życzenie. Szybkim ruchem wyciągnąłem sztylet i wbiłem go w gardło żołnierza aż po rękojeść. Biedak zaczął charczeć, wykręcił się w spazmatycznym odruchu i zastygł z twarzą ściągniętą grymasem bólu. Nie miałem tutaj niczego co mogłoby go uratować a Szeferowi raczej nie spodobałaby się wizja przyjmowania rannych. Za plecami usłyszałem kroki a chwilę później głos Szefa. - Hardy! - wrzasnął - Do kurwej nędzy, zacznij im zdejmować te buty, a nie się kręcisz w kółko!

Klęknąłem przy żołnierzu i zabrałem się za przeszukiwanie ciała, znalazłem parę miedziaków, zapieczętowany list i całkiem dobry stalowy nóż. Przytroczone do paska zobaczyłem to co zobaczyć bardzo chciałem - skórzany mieszek z brzęczącą zawartością. Z uśmiechem odciąłem woreczek i szybko schowałem pod płaszczem, nie chciałem przecież, żeby Szef czy którykolwiek z moich chwilowych towarzyszy zobaczył znalezisko. - Oj Hardy, obłowisz się dzisiaj. - pomyślałem z uśmiechem i odgarnąłem za ucho przetłuszczone, ciemne włosy. Zabrałem się do ściągania butów nieboszczyka leżącego obok. Dookoła robiło się coraz głośniejsze. Moi towarzysze stwierdzili, że usuną ciała w jednym miejscu, aby zrobić miejsce na ognisko. Pojęcia nie mam jaki miało to sens, skoro nie nastąpiło jeszcze południe, a nasza siedziba znajdowała się zaledwie dwie mile od miejsca gdzie rozegrała się bitwa, ale kto tam wie co lęgnie się w głowach tych kretynów. Któryś z nich otworzył butelkę podłego wina, a inny zaczął śpiewać piosenkę o jakiejś kurwie i jej ukochanym psie. Oczywiście pomysł rozłożenia obozu był tak idiotyczny jak oni sami, gdyż patrole żołnierzy nie traktują band takich jak nasza zbyt pobłażliwie, a dzień po bitwie zwykle pełno kręci się ich dookoła, ale co biedny Hardy może wiedzieć, przecież się na tym nie zna, bo wcale nie robi w tym fachu od dziesięciu lat, kiedy większość z nich to chłopcy, którym wojna odebrała domy kilka tygodni temu. Wydaje mi się, że z całej tej bandy matolów, tylko Szef ma trochę oleju w głowie. Szef, 40-letni łysiejący gbur z twarzą pełną blizn po ospie i otworem w miejscu gdzie kiedyś znajdowało się zapewne lewe oko, brakowało mu kilku zębów a jego lewe ucho było tylko odstającym poszarpanym kawałkiem skóry, ale jedno przyznać mu trzeba, jest wielki jak dąb i nie najgorzej radzi sobie w starciach bezpośrednich, za to troszeczkę gorzej u niego ze sztuką konwersacji i wszystkim co wymaga czegoś więcej niż brutalnej siły.

Kiedy próbowałem zdjąć srebrny pierścień z palca niewyobrażalnie tłustego oficera, z którego czaszki sterczał pokryty rdzą topór, zorientowałem się, że tak naprawdę nie mam pojęcia kto wygrał tę cholerną bitwę, ale zważywszy na to, że wasz drogi Hardy nie pochodzi stąd stwierdziłem, że zapytam się o to później Szefa, ponieważ moi mili w odróżnieniu od moich towarzyszy jestem człowiekiem pracowitym i nie chciałbym teraz zawracać głowy naszemu przywódcy pytaniami. W końcu udało mi się ściągnąć pierścień z palca tłusciocha i zadowolony ze swojego znaleziska zabrałem się za kolejne ciało - tym razem rycerza zakutego w zbroję płytową. Nigdy nie lubiłem tego rodzaju opancerzenia, zawsze uważałem, że za bardzo spowalnia.

Pogrążony w rozmyślaniach nie usłyszałem skradającego się za mną osobnika, który szybkim ruchem złapał mnie za gardło, próbowałem krzyknąć, ale wydałem z siebie tylko coś na kształt pisku. Podniosłem nogę i opuściłem ją na stopę napastnika, a potem tyłem głowy uderzyłem go w nos, usłyszałem chrupnięcie i jęk bólu. Udało mi się wyswobodzić i rzuciłem się po kuszę, która leżała dwa metry ode mnie. Kiedy się odwróciłem napastnik biegł już w przeciwnym kierunku. Podniosłem kuszę, wycelowałem i nacisnąłem spust. Bieł pomknął nad polem i wbił się prosto między łopatki uciekającego. Podbiegłem do ciała i zdjąłem maskę zakrywającą twarz gnoja, przez którego prawie dostałem zawału. Ujrzałem mężczyznę na oko 30-letniego, z nosa ciekła mu krew a nad lewym polikiem widniała długa blizna sięgająca podbródka, moja ofiara nie miała przy sobie ani broni ani pieniędzy. - no cóż - pomyślałem - Czas wracać do pracy.

-----

Był wieczór, kiedy wracaliśmy z pola bitwy. Nad nami zebrały się ptaki czekające na obfity posiłek a na skraju lasu zobaczyliśmy wilki. Chłopcy zgasili ognisko i zaczęli pakować łupy na powóz, kiedy ja stałem z kuszą i obserwowałem, czy nie zjawią się nekromanci albo żołnierze. Jeśli mam być szczerzy, bardziej obawiam się tych pierwszych. Obrzydliwych starców wyciągających wnętrzności poległych żołdaków, aby robić z nich wywary wydłużające życie, czy używać ich do odprawiania rytuałów mających na celu czczenie demonów. Niektórzy bardziej zabobonni ludzie twierdzą, że nekromanci potrafią przyzywać dusze umarłych i zniewalać je, ale jako iż nigdy nie widziałem podobnego zabiegu podchodziłem do tego stwierdzenia z pewną dozą sceptycyzmu. Nagle, po drugiej stronie pola usłyszałem wrzaski i dostrzegłem czarną mgłę.

- Szefie! - krzyknąłem.

- Co jest Hardy? - odparł.

- Wydaje mi się, że powinniśmy się zbierać, żołdaki Eznara się tu złażą, żeby pilnować ciał.

- Dobra, ekipa! Ruszać tłuste dupska bo nas zaraz wypatroszą! - Wrzasnął Szef.

Niestety Szef nie wiedział, że lada moment ekipa nie będzie w stanie nigdzie się ruszyć. Nekromanci stojący po drugiej stronie pola zaczęli z niepokojącą prędkością przemieszczać się w naszą stronę. Sunęli ponad powierzchnią pola, jak gdyby niesieni wiatrem, zostawiając za sobą czarną smugę.

- Szefie! - wrzasnąłem pokazując palcem w stronę zbliżającej się śmierci. Wszystko wydarzyło się jakby w zwolnionym tempie. Chłopcy rzucający na ziemię kosztowności i sięgający po broń, Szef drący mordę do tych, którzy na widok nekromantów zaczęli spieprzać w przeciwnym kierunku i ja, cholerny kretyń stojący na wozie z kosztownościami, który stwierdził, że świetnym pomysłem będzie zachować się jak bohater, bo widzicie, wasz drogi Hardy zawsze miał problem z tym, kiedy powinien zachować się jak bohater, a kiedy powinien raczej sobie odpuścić. Sięgnąłem po kuszę, wycelowałem w jeden z cieni lecących w naszym kierunku i pociągnąłem za spust. Postać zatrzęsa się, wydała z siebie potworny krzyk i padła pomiędzy zwłoki. Kolejni nekromanci zaczęli wpadać w moich towarzyszy, powalając ich na ziemię. Nagle na ramieniu poczułem dłoń. Odwróciłem się i zobaczyłem twarz Szefa. - No cóż, powodzenia na nowej drodze życia Hardy. - powiedział uderzając mnie w twarz jelicem miecza. Resztę widziałem jakby przez mgłę. Spadałem na ziemię, Szef wturlał mnie pod powóz, a sam odwrócił się i ściał głowę jednego nekromanty zanim drugi wbił mu pazury w plecy otwierając je, a ja po prostu zamknąłem oczy.

-----

Było już prawie południe. Poczulem zapach świeżego chleba dochodzący z kuchni, zacząłem powoli iść w stronę drzwi. W pomieszczeniu dostrzegłem Annis krojącą bochen chleba, a na ziemi siedziała mała

Anna bawiąca się lalką, Annis spojrzała na mnie i wtedy zrozumiałem, że wcale nie stoję w kuchni, nie jestem przy mojej małej dziewczynce i pięknej żonie i wykrztusiłem z siebie tylko „przepraszam”.

-----

Obudziłem się, kiedy słońce było już wysoko na niebie. W głowie czułem ból potęgowany przez zapach ciał dookoła. Kiedy wyczołgałem się spod wozu dostrzegłem, że truchła moich kompanów zostały wypatroszone z zawartości. Brzuch każdego z nich został otworzony i opróżniony z wnętrzości, niektórym brakowało również kończyn lub, jak w przypadku szefa, drugiego oka.

- No dobra Hardy, trzeba się stąd zabierać zanim kolejne kurestwo przyjdzie tu i spróbuje wysłać cię do twoich towarzyszy. - pomyślałem i zebrałem kilka przydatnych rzeczy walających się dookoła po czym ruszyłem w stronę małej miejsciny znajdującej się nieopodal. Idąc tak nie mogłem odpędzić od siebie jednej myśli - Dlaczego Szeff mnie uratował? Dlaczego ten podstarzały bandyta stwierdził, że moje życie jest warte jego czasu? Wiem, że mnie lubił, wiele razy gawędziliśmy, jako jedyni w bandzie mieliśmy jakiegokolwiek faktyczne doświadczenie bojowe, on jako pikinier Tcheoda podczas wojny z klanami, a ja jako wieloletni najemnik i łowca. Ale czy to, że mnie lubił naprawdę wystarczyło aby mnie ocalił? Sytuacja była dziwna, może po prostu miał już dość, dość włóczenia się z gnidami i ścierwami, może chciał po prostu odejść robiąc coś dobrego... Rozmyślając tak dotarłem do dziedzińca, gdzie zobaczyłem patrol żołnierzy idących w stronę pobojowiska i kierując się odruchem, skoczyłem w rów na poboczu. Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem kroków. Żołnierze się zbliżali, nie jestem w stanie stwierdzić czy to moi rodacy czy może Endarczycy ze wschodu ale jedno wiem na pewno, spotkanie z nimi nie skończyłoby się dla mnie dobrze.

-Pierdolony tchórz wycofuje się na południe! - krzyknął jeden z żołdaków z rozbawieniem w głosie.

-Dziwisz mu się? - zapytał jego rodak - Po takiej kłęsce też bym spieprzał! - Teraz wiem już, że żołnierze przechodzący obok mnie nie byli Terndarczykami a ludźmi ze wschodu. Zapewne gdyby teraz mnie znaleźli zostałbym powieszony (w najlepszym wypadku) lub zabrany na przesłuchanie (w najgorszym). Kiedy żołnierze zniknęli za zakrętem wylazłem ze swojej kryjówki i ruszyłem w stronę gospody zastanawiając się, czy mogę liczyć na świeży chleb i potrawkę z kurczaka kiedy dotrę na miejsce, bo widzicie wasz drogi Hardy uwielbia potrawkę z kurczaka. Po drodze mijałem ludzi uciekających przed wojną - całe rodziny, na wozach wieźli rannych i chorych. Wszyscy jadą na południowy zachód z nadzieją, że miłościwy król Tcheod ich obroni. Nikt jeszcze nie powstrzymał Eznara i wątpię żeby sojusz naszego dzielnego króla Niedźwiedzia z Ardenią i północnymi klanami miał cokolwiek zmienić. Jakby tego było mało, na południu rozprzestrzenia się jakaś plaga podobna do tej sprzed piętnastu lat.

Kiedy dotarłem na miejsce słońce już dawno zaszło, ale karczma nadal zdawała się tętnić życiem. Po otwarciu drzwi, uderzyła mnie fala gorącego powietrza, pachnąca tuzinem śmierdzących ciał znajdujących się w środku. W jednej chwili przesiadujący zamilkli i wszystkie pary oczu zwróciły się w moją stronę. Pomieszczenie wyglądało typowo jak na przybytek tej klasy. Niski strop, niewielki kominek w którym tliły się drwa, kilka stołów wypełnionych ludźmi. Większość z nich to starcy, ci których nie zabrało ze sobą przechodzące wojsko. Skierowałem się w stronę lady, a barman widząc mnie wyciągnął spod kontuaru pałkę obitą metalowymi płytkami.

-Potrzebuję pokoju, stawy i bali z gorącą wodą - powiedziałem kładąc srebrną monetę przed barmanem.

- Oczywiście - odparł brzuchaty mężczyzna z uśmiechem, najwidoczniej wizja siostrzyczek mojej monety niezwykle mu się spodobała - życzy pan sobie może piwa?

- A właściwie to czemu nie? Dobrze chociaż macie to piwo? Tylko nie waż mi się mieszać go z wodą!

- A co pan, ja? Nigdy w życiu zem takiego świństwa nie uczyni! - Oburzył się karczmarz.

-Już ja was znam, odwróci się człowiek na chwilę, a wy od razu mieszacie! Dobra, nieważne, lej to piwo i czekam na jedzenie. - Potrawka przygotowana przez córkę barmana była całkiem niezła, zresztą, córka też była niczego sobie. Młódka, długie blond włosy zwisające do pasa a pod grzywką błyszczwały duże, niebieskie oczy. Śliczna sukienka wychaftowana kwiecistymi symbolami pasowała idealnie do jej figury, pewnie biedny karczmarz nie może odgonić od córki natrętnych gachów. Piwo również było w porządku, a towarzystwo w karczmie zdawało się nad wyraz spokojne, jednym zdaniem, przyjemne miejsce. Niestety każde przyjemne miejsce jest przyjemne tylko do pewnego czasu... Kiedy w moim kuflu pozostała jeszcze resztką trzeciej kolejki piwa, drzwi do karczmy otworzyły się. Do środka wtargnęło trzech mężczyzn. Dwóch z nich miało przy sobie drewniane pałki obite żelazem, trzeci zaś nioś przy boku poszczerbiony miecz na którym widniały ślady zaschniętej krwi i rdzy. Gdy barman zobaczył intruzów rozkazał córce schować się na zapleczu, niestety nie był wystarczająco szybki. Facet z mieczem wskazał palcem na drzwi - Co wy tu jeszcze kurwa robicie!?! WYPIERDAŁAĆ! - ryknął. Wszyscy ludzie w karczmie wybiegli ze spuszczoneymi głowami. Jeden zbir z pałką ruszył w stronę dziewczyny. - Nieee - zaszlochał barman - błagam, to moja jedyna córka!

- Miejmy nadzieję że zrobisz sobie następną! - zarechotał ten z mieczem. I wtedy, na ich nieszczęście, jeden z pałkarzy dostrzegł mnie.

- A ty co tu jeszcze robisz?! - warknął do mnie.

- Wygląda na to, że piję piwo - odparłem grzecznie nie odwracając się - Słuchajcie panowie, miałem dzisiaj bardzo ciężki dzień i wolałbym dokończyć go w przyjemnym nastroju, więc radzę wam pozwolić mi dokończyć ten kufel. - położyłem palce na spuszczonej kuszce leżącej mi na kolanach.

-Wypierdalaj stąd albo cię pokierujemy gnoju. - powiedział facet z mieczem ruszając w moją stronę.

Nie mam siły żeby walczyć... Wstałem ze stołka i skierowałem się w stronę drzwi, przeszedłem między tymi zwierzętami i wyciągnąłem rękę w stronę klamki. Usłyszałem w głowie głos, głos który zawsze słyszę gdy spotykam się ze złem, głos Annis rozbrzmiewał w mojej głowie echem którego nie byłem w stanie uciszyć. Głos pytał mnie zawsze o to samo... - Co zrobiłbyś gdybym tu była?

Odwróciłem się i uniosłem szybko kuszę po czym momentalnie nacisnąłem na spust trafiając napastnika w brzuch, na jego twarzy pojawił się grymas zdziwienia, po czym osunął się na ziemię stękając z bólu. Barman wykorzystał okazję i trzasnął jednego ze zbirów pałką w głowę, usłyszałem dźwięk pękającej czaszki. Ostatni skurwiel skamieniał widząc jaki los spotkał jego towarzyszy. Wyciągnąłem sztylet z cholewy buta i ruszyłem w jego stronę. Kiedy otrząsnął się z szoku było już za późno, zanurzyłem ostrze w jego oczodole, aż nie poczułem na palcach ciepłej krwi, a końcówka sztyletu nie wyszła po drugiej stronie jego czaszki. Podszedłem do mężczyzny którego barman uderzył pałką i dla pewności poderżnąłem mu gardło. Dziewczyna szlochała za kontuarem, a jej ojciec dalej w szoku, stał tylko i patrzył na

ciała leżące na podłodze.

- Nalej mi piwa, potem pomogę ci wynosić trupy - powiedziałem do barmana, a on tylko kiwnął do mnie głową, podszedł do kontuaru i wypełnił dwa kufle. Gdy skończyliśmy pić i wynosić ciała powiedziałem barmanowi, żeby uspokoił córkę i obudził mnie rano na śniadanie. Całe szczęście dziewczyna przygotowała mi kąpiel zanim nieproszeni goście wtargnęli do karczmy, niestety woda nie miała już takiej temperatury o jakiej marzyłem, ale stwierdziłem, że nie będę już męczył właścicieli. Odłożyłem kuszę, rozebrałem się i wlałem do balii. Kiedy już skończyłem, położyłem się w łóżku i od razu poczułem pluskwy w pościeli, spałem jednak w gorszych warunkach, więc kiedy tylko ułożyłem się w odpowiedniej pozycji, momentalnie zasnąłem.

-----

Szedłem przez targ. Mała Anna trzymała mnie za rękę i rozglądała się po straganach dookoła. W pewnym momencie puściła mnie i podbiegła do jednego z handlarzy.

- Tato tato! - zawołała pokazując na lalkę leżącą na rozłożonym dywanie. - Tato proszę kupisz mi ją?

- Ile za lalkę?

- Srebro - odpowiedział.

Sięgnąłem po mieszek, męczyłem się chwilę z zawiązanym na supeł rzemykiem do momentu gdy za plecami usłyszałem głos.

-Zrobić przejście król jedzie!

Zobaczyłem karocę ciągniętą przez dwa piękne, czarne konie. Hołota schodziła z drogi do momentu, gdy ktoś w tłumie nie zdecydował się wyrazić swej prywatnej opinii - Pierdolić króla! - Krzyknął mężczyzna z mocnym wschodnim akcentem. Ten akcent nie zwiastuje niczego dobrego. Tłum podchwycił temat i zaczął skandować zasłyszaną wcześniej frazę. Kiedy coraz więcej wsiurów zaczęło przyłączać się do tej szopki, zza moich pleców w stronę kordonu poleciał kamień, impuls który wystarczył głodnemu tłumowi. Rozpętało się piekło, ludność stolicy obróciła się przeciwko swojemu władcy. Mieszkańcy zaczęli atakować orszak króla, karoca przyspieszyła. Hołota zaczęła tłuc się między sobą. Pewnie niektórzy idioci nie usłyszeli nawet kto jest celem ataku, więc część z nich próbowała dostać się do króla, natomiast reszta wyraźnie chciała wesprzeć strażników. Złapałem Annę za rękę. - Kochanie, musimy uciekać - powiedziałem kładąc dłoń na rękojęści sztyletu. Powoli zaczęliśmy przechodzić przez rozsierdzonego tłum. Weszliśmy w boczną uliczkę, usłyszałem za sobą stukot kilku par butów. - Anno musisz tu na mnie poczekać - powiedziałem do córki. Ania kiwnęła głową, ale widać było, że z trudem powstrzymuje się od płaczu. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę, z której dobiegał dźwięk kroków. Na spotkanie wybiegło mi trzech mężczyzn. Osobnik prowadzący grupę był najwyższy z trójki, łysy, szczupły ze zciągniętymi policzkami i wyrazem zadowolenia na twarzy. Drugi, o wiele młodszy od pierwszego nie wyglądał na zbyt pewnego siebie, był w miarę niski w prawej ręce trzymał obnażony sztylet. Trzeci z napastników wyglądał identycznie jak drugi - Pewnie bliźniacy - z jedną tylko różnicą, albowiem przez jego twarz prze-

chodziła paskudna, źle gojąca się rana.

- Witajcie panowie - zacząłem kulturalnie - Całkiem ciekawie się zrobiło na targu prawda?

Mężczyźni byli nieco zdziwieni moją postawą, ale po chwili otrząsnęli się i Łysol odpowiedział. - Opróżniaj kieszenie, bo zrobię ci z brzucha gniazdo dla szczurów! - krzyknął głosem, który zapewne miał być groźny, co jakiś czas zerkając łapczywie na mieszek zwisający mi u pasa.

- Po co te groźby panowie? - zapytałem łagodnym głosem - już opróżniam, chwileczkę - odpowiedziałem powoli odwiązując sznurek od mieszka.

Złodzieje byli zbyt zajęci mieszkiem, by zobaczyć, że moja lewa ręka powoli wędruje za plecy.

-Proszę bardzo, zrobione - powiedziałem z szerokim uśmiechem, i wyciągnąłem pełny mieszek na otwartej dłoni w stronę zbirów. Łysol niepewnie wyciągnął rękę po pieniądze, a wtedy ja szybkim ruchem wyciągnąłem ostrze, które trzymałem za plecami i odciąłem nim połowę dłoni napastnika. Zbir ryknął jak zarzynane prosię, bliźniak bez blizny próbował uderzyć mnie pałą, jednak zablokowałem uderzenie ostrzem, a moja prawa ręka powędrowała w stronę sztyletu, który trzymałem u pasa. Wyciągnąłem broń i wbiłem ją w brzuch napastnika. Drugi z braci, najwyraźniej otrząsnął się z szoku wywołanego szybkim obrotem spraw, dobył swojego noża i wbił mi go w prawe ramię. Syknąłem z bólu, byłem jednak w stanie zamachnąć się ostrzem trzymanym w prawej ręce i przeciąłem nim gardziel skurwiela. Klnąc oderwałem fragment ubrania jednego z bandziorów i zawiązałem go sobie w miejscu zranienia, po czym odwróciłem się i poszedłem znaleźć Annę.

-----

Rano obudził mnie głos karczmarza wołającego na śniadanie.

- Proszę pana? - zawołał niespokojnie zza drzwi - śniadanie gottowe - zająknął się.

- Chwila - odpowiedziałem siadając na łóżku. Wtedy poczułem, że moje prawe ramię jest cieplejsze niż powinno, a gdy na nie spojrzałem zobaczyłem strużkę krwi ciekącą z rany - Kurwa jego mać... - zakląłem pod nosem i oderwałem fragment koszuli, po czym zabandażowałem sobie nim ranę. Ubrałem się w skórzany pancerz i zszedłem po schodach na parter, gdzie na jednym ze stołów rozłożone było jedzenie. Usiadłem na krześle i zacząłem jeść. Po chwili dołączył do mnie barman.

- Ja chciałem panu bardzo podziękować, no wie pan, za wczoraj. Gdyby nie pan to ja nie wiem co by...

-Nie ma problemu - odparłem przerywając mu. Nie byłem przyzwyczajony do podziękowań. Karczmarz wstał z krzesła. - Czy wiesz może jak daleko stąd do Gillintford? - zapytałem kiedy mężczyzna odchodził.

- Jakieś dwadzieścia mil. - odpowiedział - Ale droga jest niebezpieczna, te Eznarskie kurwie syny łążą po szlakach.



- Dzięki za ostrzeżenie. - barman tylko kiwnął głową i przeszedł na zaplecze.

Dokończyłem śniadanie, wróciłem się do pokoju po kuszę i wyszedłem z karczmy. Dzień był słoneczny i rześki, dobra pogoda na podróż. Niestety przed karczmą nie stały żadne konie, które mógłbym wykorzystać jako transport. - Jebane dwadzieścia mil, mam nadzieję, że chociaż burdel na miejscu będzie znośny - burknąłem. Ruszyłem w drogę, pogwizdując na poprawę humoru, z kuszą za plecami, mieczem u boku i pełnym mieszkiem srebra u pasa. Mogło być gorzej, mógłbym być teraz śladnikami alchemicznymi dla nekromantów, ale jakimś cudem akurat życie trzyma się niezwykle kurczowo waszego drogiego Hardy'ego. Po przejściu kilku mil dotarłem do niewielkiej wsi a raczej do tego co z niej zostało, domy były spalone, a mieszkańcy dyndali na prowizorycznych szubienicach przed chałupami. W ruinach wciąż tlił się ogień, a ciała nie zaczęły jeszcze gnić, więc ktokolwiek to zrobił, zrobił to niedawno. Do jednego z wisielczych słupów przybity był list.

„Z rozkazu króla Theoda III, Władcy Terndarii, Namiestnika Północnego Tronu

ta wieś została zrównana z ziemią za ukrywanie wrogiej kontrabandy

oraz spiskowanie przeciw wolnym ludom zachodu.”

Kapitan Ordan Dileas

Przywódca IV jednostki zwiadowców

No no, widzę, że Tcheod się nie patyczkuje. - pomyślałem - Jak na niego to niezwykle brutalne, chociaż dzisiejszy świat zmusza do podejmowania takich decyzji. Za plecami usłyszałem warkot, stanąłem jak wryty, powoli zacząłem się obracać całym ciałem. Za mną stał wilczur ze zjezoną sierścią na plecach i ciałem pokrytym strupami. - Kurwa jego mać. - zakląłem pod nosem. Biedne zwierze. Prawdopodobnie pies jednego z mieszkańców. Jeśli mnie ugryzie może wdać się zakażenie, a w odległości kilku mil nie ma żywej duszy. - Hardy, rozegraj to mądrze - powiedziałem sobie w myślach - psy reagują na siłę pokaż, że jesteś silniejszy to może ucieknie. Więc wyskoczyłem do przodu z rozłożonymi rękami i wrzasnąłem - Raaaaaaaargh!!! - tak głośno jak potrafiłem, na co pies pisnął, odwrócił się i zwiął z podkulonym ogonem. No cóż, teraz wasz drogi Hardy musi się tylko martwić o eznańskie patrole w okolicy, bo mój krzyk było pewnie słyhać z odległości pięciu mil. Za plecami usłyszałem trzaśnięcie, łamana gałązka. Odwróciłem się momentalnie celując kuszą. Za mną stało dwóch mężczyzn, za nimi kobieta. Jeden z nich trzymał w dłoniach siekiere a drugi widły. Byli brudni, wyglądali jakby nie jedli od kilku dni.

-Ładna siekierka - powiedziałem do jednego z nich ciągle trzymając kuszę przy twarzy. Mężczyzna zrobił zdziwioną minę i postąpił krok na przód. -A-a-a-a - wyjąkałem i uniosłem broń nieco wyżej. Zatrzymał się i uniół ręce.

-Błagam, potrzebujemy pomocy nie jedliśm...

-Przestań - przerwałem mu - Nic nie mam.

-Potrzebuje..

-Nie! - krzyknąłem przerywając kobiecie - Macie szczęście, że nic wam nie odbiorę. A teraz ruszać zanim zmienię zdanie do cholery!

Mężczyźni odwrócili się ale kobieta nadal patrzyła prosto w moje oczy - Bogowie patrz - stwierdziła - patrz i osądzają. - Po tych słowach dołączyła do swoich.

-Wątpię - odparłem już sam do siebie. Przeszedłem parę kroków, chciałem odejść ale zatrzymałem się i zacisnąłem zęby. - Niedaleko stąd na północ jest karczma! - krzyknąłem za ludźmi. - Idźcie tam i powiedzcie, że kusznik was przysłał! - Nie spojrzałem na nich, rozejrzałem się jeszcze po spalonych domach i ciałach zawieszonych na szubienicach. - Szlachetny król Tcheod, Niedźwiedź zachodu. - Splu-  
nąłem i ruszyłem dalej, chcąc odejść od swędu palących się ciał.

Przeszedłem jeszcze milę zanim usłyszałem dźwięk kopyt, a zza rogu wychynął oddział z flagami na których widniał brązowy niedźwiedź na zielonym tle, symbol Tcheoda. Żołnierze podjechali do mnie. Młody chłopak jadący na czele zsiadł z konia. Miał krótkie blond włosy i kwadratową szczękę, był wyższy i szerszy w barkach ode mnie. Jego krótki, prosty nos nie wyglądał jakby kiedykolwiek uległ złamaniu a wesołe niebieskie oczy sprawiły, że mimowolnie poczułem do niego pewną sympatię, ale też było mi go żal. Widać, że nie poznał jeszcze okrucieństw tego świata, prawdopodobnie wychowany za, teraz już bezpiecznymi, murami miasta.

- Witaj dobry człowieku! - zaczął - jedziemy w stronę rzeki Avaron, czy nie spostrzegłeś może w okolicy eznerskich patroli?

- Na szczęście nie Panie, ale, jeśli jedziecie w stronę rzeki to wiedzcie, że na polu bitwy możecie natknąć się na nekroman...

Nagle usłyszeliśmy świst i jeden z rycerzy złapał się za szyję z której sterczała strzała. Z lasu wybiegli żołnierze ze znakami czarnego lwa- symbol Eznara. Zaczęli wyrzynać ludzi Tcheoda. Młodzieniec przede mną chciał sięgnąć po miecz, ale zanim zdążył to zrobić uderzyłem go kolbą kuszy w głowę. Chłopak upadł nieprzytomny na ziemię, a ja odrzuciłem kuszę i klęknąłem obok niego, zakładając ręce za głowę - Witajcie panowie! - zakrzyknąłem wesoło, gdy rzeź dobiegła końca - Jestem tylko podróżnym, nie mam nic wspólnego z tymi tutaj. Z lasu wyszedł wysoki mężczyzna ubrany w czarną zbroję, jego twarz była pokiereszowana bliznami, a w prawej ręce trzymał dwuręczny topór. - Stul pysk - burknął - Wielkolud przechodząc obok mnie zamachnął się toporem...

## Rozdział II Złoty Chłopiec

“..Arth odpowiedział bratu swemu - Siła tworu mego drzemie w jego wnętrzu, nie widzisz jej, ale udowodnią ci, że tam jest...”

Flagi trzepotały na wietrze, na zewnątrz słyszałem głosy, ponad setka mieszczan zebrała się aby oglądać turniej z trybun. Moje najważniejsze starcie, dzień w którym Henry Boarn zapisze się na kartach historii swego rodu. Wziąłem głęboki wdech, oczyma wyobraźni widziałem już mojego przeciwnika, przerabiałem w głowie każdy możliwy przebieg starcia. - Synu - usłyszałem za sobą głos.

-Witaj Ojcie - odparłem z uśmiechem odwracając się. Ujrzałem mojego rodziciela, sędziwego, łysiejącego, czterdziestoletniego mężczyznę. Lata dobrobytu nieco go roztyły ale wciąż wyglądał lepiej niż wielu innych szlachciców w królestwach zachodu. Miał gęste, jasne wasy, lekko zawinięte na końcach a na jego palcu dostrzegłem sygnet z symbolem dzika. Wesóły Dzik, bo tak zwał mego ojca ogół, rozpostarł ramiona i objął mnie.

- Nie stresuj się chłopcze - powiedział - zaszedłeś już dalej niż ktokolwiek inny w twym wieku, pokazałeś do czego jesteś zdolny.

-Dziś pokażę jeszcze więcej, o to się nie martw. - odpowiedziałem pewnym głosem i ująłem w dłonie hełm. - Ordan jest na trybunach?

-Nie mam pojęcia, w tym cholernym płaszczu nigdy nie mogę go zobaczyć, ale jestem pewny, że gdzieś się tam kręci...

-Jestem tutaj - odezwał się głos za plecami mojego ojca.

-Na bogów! - krzyknął mój rodzic zadrżawszy - Chłopcze! Rozmawialiśmy o tym! Mówiłem ci abyś się tak nie podkradał!

Z ciemności wyszedł mój wieloletni przyjaciel i towarzysz Ordan Dileas, kapitan IV pólku zwiadowców i zaufany rodziny. - Przepraszam, nie miałem pojęcia, że jestem aż tak cicho. - uśmiechnął się i uściśnął dłoń mojego ojca po czym moja. - Młody Prois szykuje się na porażkę? - zapytał zwiadowca uśmiechając się szeroko. Brązowe włosy kłębiły się na głowie młodego kapitana, był człowiekiem średniego wzrostu, ale dobrze zbudowanym, nad prostym krótkim nosem błyszczały oczy w kolorze ciemnego piwa. Ubrany był w klasyczny strój swojego ugrupowania, długi, ciemno zielony płaszcz z kapturem po którym nosił brązową, skórzaną kamizelkę wzmacnianą stalowymi płytkami.

-Mam nadzieję, że tak, nie chcemy przecież, żeby po wszystkim się załamał - odpowiedziałem i założyłem rękawicę. Mój ojciec uśmiechał się ale w tym uśmiechu dostrzegłem lekki niepokój, widziałem to przed każdym turniejem, po prostu rodzic martwiący się o swoje dziecko.

-Bądź ostrożny - powiedział z nutą zaniepokojenia - nie lekceważ przeciwnika i nie daj się rozproszyć. - Standardowa regułka, słyszałem ją za każdym razem. Oczywiście, stresowałem się przed walką. Prois jest świetnym rycerzem ale nie miałem zamiaru pozwolić by emocje wzięły nade mną górę. Usłyszeliśmy dźwięk trąb, nadszedł czas. Założyłem drugą rękawicę i wsiałem na rumaka. Brązowy koń, latami szkolony do walk tego typu, nie spłoszył go ryk tłumu ani dźwięk instrumentów.

Ordan wyciągnął do mnie rękę - Powodzenia dzieciaku - rzekł z uśmiechem.

-Jak już wygram to zobaczymy który z nas jest dzieciakiem - powiedziałem odwzajemniając zarówno uścisk jak i uśmiech. Założyłem hełm i wrota przede mną się otworzyły. Światło wlało się do pomieszczenia, ryk tłumu zagłuszał wszystko wokół, wreszcie wszedłem w mój świat.

-Jestem z ciebie dumny! - usłyszałem za plecami głos ojca, uśmiechnąłem się, dobrze było to słyszeć. Plac turnieju był wspaniały, przed ławami stały zdobione wazony z fioletowymi kwiatami, loża szlachecka wypełniona była wysoko urodzonymi. Flagi trzepotały na wietrze a gmin zapełniał trybuny. Giermek podał mi tarczę, piękna, ozdobiona symbolami dzika, wykonana z lekkiej stali. Drugi chłopak podał mi kopię, wygrawerowana symbolika mego zwierzęcia rodowego widniała również tutaj. Z bramy po drugiej stronie placu wyjechał mój oponent, w pięknym pancerzu pełnym grawerunków w kształcie sokoła, Dollyn bo tak zwał się mój przeciwnik był cztery lata starszy ode mnie, wygrał kilka turniejów więcej. Był mniej więcej tego samego wzrostu co ja, nie mogłem dostrzec twarzy ale wyobraziłem sobie, że widnieje na niej wyraz zdeterminowania. Podjechałem na pozycję startową, mój oponent zrobił to samo. Pióra wystające z jego hełmu chwiały się wraz z powiewami wiatru. Trąbki rozbrzmiały ponownie i w loży szlacheckiej dostrzegłem ruch, do barierki podszedł Wielki Niedźwiedź we własnej osobie, król Tcheod. Wysoki mężczyzna przewyższał niemal wszystkich wokół, długie jasne włosy opadały na jego ramiona, gęsta, średniej długości broda, niemalże zakrywała usta władcy. - Nadszedł ten dzień - zaczął tubalnym głosem i trybuny zastygły w ciszy. - Dzisiaj zmierzą się ze sobą dwaj najznamienitsi młodzi rycerze królestw zachodu! Zwycięzca może być tylko jeden lecz obydwaj młodzi wojownicy zostaną przez nas zapamiętani! Niech wygra ten w którego sercu pali się jaśniejszy płomień! - tłum wstał z ław i zareagował oklaskiem oraz wiwatem na krótką przemowę swego władcy. Czułem jak koń nerwowo rżnie kopytem dołek w ziemi, czekał, czekał na to samo co ja, dźwięk trąby. Mężczyzna trzymający instrument pojawił się na specjalnym piedestale, poprawiłem uścisk tarczy, stuknąłem palcami w rękojeść kopii. Trąba rozbrzmiała, ogier ruszył bez żadnej komendy z mojej strony, dobrze wiedział co robić, czekał na to całe swe życie. Wycelowałem kopię w tarczę wroga, on zrobił to samo, pędziliśmy na siebie w równym tempie, słyszałem tylko własny oddech odbijający się o ścianki hełmu, odciąłem się całkowicie od ryku tłumy. W ostatnim momencie poruszyłem tarczą i koniec kopii przeciwnika prześlizgnął się po niej nie napotykając oporu. Niestety, ja również nic nie poczułem, minęliśmy się. Koń dojechał do końca placu po czym obrócił się i zarżał głośno jakby był rozczarowany moimi umiejętnościami, nie miałem zamiaru zawieść go po raz kolejny. Trąbka rozbrzmiała ponownie i ogier ruszył pędem, wymierzyłem kopię dalej od środka tarczy, duże ryzyko ale jeśli przeciwnik spróbuje powtórzyć manewr nieprzyjemnie go zaskoczę. Dostrzegłem, że nadgarstek Dollyna zmienił pozycję tarczy, uśmiechnąłem się i trzymałem swej strategii. Uderzenie, moja kopia wysadziła go z siodła, spadając młody rycerz rąbnął swego konia w łeb tarczą i zwierze rżąc wpadło na barierkę przebijając się przez nią i wpadając wprost na mnie. Tłum ucichł gdy spadałem z wierzchołka twarzą w piach.

-----

Powoli otwierałem oczy, głowa bolała mnie niemiłosiernie, zdjąłem hełm i odrzuciłem go na bok, w głowie słyszałem szum, powoli odzyskiwałem ostrość zmysłów. Z ogłuszenia wyrwał mnie krzyk, szybka reakcja, przeturlałem się na bok mijając miecz w ostatnim momencie. Drugie uderzenie już zmierzało w moim kierunku, klęcząc, uniosłem tarczę i miecz trzasnął w drewno, spróbowałem wykonać zamach w prawy bok jednocześnie odtrącając ostrze przeciwnika, Dollyn uniknął sprawnie i uderzył po raz kolejny, siła ciosu wytrąciła mi z ręki tarczę, mój oponent był szybki, kolejny cios już nadchodził, zasłoniłem się mieczem ale nie poczułem uderzenia, spojrzałem w prawo, nie zdążyłem, tarcza już zmierzała w stronę mojej głowy, uderzenie, poczułem jak padam na ziemię.

-----

-Henry - usłyszałem znajomy głos - Henry, obudź się.

Kłujący ból głowy zdawał się rozsadzać mnie od środka, dotknąłem czaszki i poczułem bandaż. Otworzyłem oczy i dostrzegłem Ordana stojącego w pomieszczeniu.

-Co.. co się stało? - zapytałem, mój przyjaciel stał oparty o ścianę, miał na sobie skórzaną kamizelkę, płaszcz wisiał na krześle przy kominku, łuk leżał obok niego.

Ordan podszedł do łóżka i usiadł na jego krańcu, uśmiechnął się do mnie i spojrzał na ranę na mojej głowie. - Zwycięzca nie został zdecydowany - odparł zwiadowca - barierka nie powinna była pęknąć. Król ogłosił, że walka jest nierozstrzygnięta.

-Ale przegrałem... - odparłem - pokonał mnie.

-Pokonał cię słaby płot, nie człowiek. Uwierz mi, król nie zdecydowałby inaczej gdyby prawda była inna.

-Gdzie jest mój Ojciec? - zapytałem.

-Musiał wyjechać, król wysłał go nad Avaron. Ach, no tak, prawie zapomniałem. - powiedział i sięgnął do kieszeni kamizelki. - Zostawił to dla ciebie. - Ordan wyciągnął złożoną kartkę i podał mi ją. Kiwnąłem mu w podziękowaniu i odebrałem wiadomość. -No, ale ja też niestety muszę się zbierać. Mam spotkanie z pewną uroczą damą - oznajmił zwiadowca i zdjął z krzesła płaszcz. Wychodząc podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu - trzymaj się.

-Ty też - odparłem z uśmiechem. Ordan wyszedł, rozłożyłem kartkę.

Mój synu

Zostawiam tę wiadomość z Ordanem ponieważ nie będzie mnie przy tobie gdy się obudzisz. Eznar ruszył swe siły przeciw naszemu królestwu i wtargnął na ziemię naszych ojców, ruszam nad rzekę Avaron, aby go powstrzymać. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Co do wypadku na turnieju, twoja przegrana nie była spowodowana brakiem twoich umiejętności, wytrąciłeś młodego Dollyna z siodła, pamiętaj o tym gdy będziesz brał na siebie winę za swą porażkę. Niedługo się spotkamy, jestem z ciebie dumny synu, kocham cię.

P.S

Ściągnięcie hełmu nie było dobrym pomysłem.

Doczytałem ostatnią linijkę i parsknąłem śmiechem, momentalnie poczułem nawrót kłującego bólu. Wtedy zdałem sobie sprawę ze znaczenia informacji zawartej w tym liście. Eznar nadchodzi, król drugiego najpotężniejszego królestwa w znanym nam świecie zbliża się z każdym dniem.

-----

Słyszałem odgłosy dochodzące z wielkiej sali gdy byłem jeszcze w swej komnacie. Muzyka, śpiewy, od czasu do czasu krzyk gdy ktoś upadł nie będąc w stanie przezwyciężyć procentów ogarniających jego umysł. Nie chciałem ominąć zabawy więc przebrałem się w strój nadający się do biesiady tego typu i skierowałem w stronę wesołych dźwięków. Założyłem długą niebieską tunikę spiętą srebrnym pasem z symbolem dzika oraz brązowe spodnie ze ściaśnionymi nogawami. Postanowiłem nie zakładać żadnego nakrycia głowy gdyż zwykle podczas biesiad gubi się je dość szybko. Korytarze rozjaśnione były lampami, nawet strażnicy byli w dobrych nastrojach gdyż Król Tcheod zawsze darował im wino oraz Ardeńską whisky która zostawała po balach. Wrota wielkiej sali były otwarte, sala wypełniona była ludźmi. Lordowie siedzieli przy stołach omawiając zapewne sprawy wagi państwowej przy dużych ilościach Ardeńskiej. Szlachta i dworzanie śpiewali i krzyczeli do grajków jakie utwory powinny wybrzmieć w następnej kolejności. Król siedział na tronie górując lekko nad salą, ludzie podchodzili do niego zadając pytania oraz prosząc o najróżniejsze rzeczy. Tcheod zwykle odpowiadał z uśmiechem i radził najlepiej jak mógł, nie mógł pozwolić sobie na to aby w przeddzień wojny jego wysoko urodzeni mieli do niego jakieś pretensje. Wreszcie pośród tłumu ujrzałem człowieka którego bardzo ujrzyć chciałem, Ordan siedział z kuflem piwa między trzema niezwykle urodziwymi niewiastami i opowiadał im jakąś wielce zajmującą historię. Ruszyłem w jego kierunku, wymagało to ode mnie odrobiny pracy w zakresie przebijania się barkami przez zbity tłum ale wreszcie dotarłem do przyjaciela. Podszedłem do niego za jego plecami aby podsłuchać fragment opowieści. - Wtedy właśnie, wyciągnąłem z kołczanu ostatnią - tutaj uniósł palec wskazujący prawej dłoni - ostatnią strzałę, założyłem ją na cięciwę i szybciej niż jakkolwiek mąż przede mną wypuściłem pocisk który pomknął wprost na wroga wbijając się prosto w jego ucho!

Dziewczyny były zachwycone ale miałem zamiar przerwać ich zabawę i położyłem dłoń na ramieniu Ordana. Zwiadowca odwrócił się gwałtownie i gdy tylko mnie zobaczył wstał z krzesła trącając jedną z dziewczyn kolanem a na drugą wylewając odrobinę trunku. - Henry! Mój przyjacielu! Jak dobrze znów cię widzieć!

-Tak dzieciaku, zapewne dobrze jest mnie widzieć. - odpowiedziałem z uśmiechem i objąłem przyjaciela.

-Elowen kochana, przynieś proszę młodemu lordowi Boarnowi kufel piwa! - zakrzyknął Ordan i wskazał dłonią na dzban z piwem. Dziewczyna pobiegła po naczynie a zwiadowca ponownie spojrzał na mnie. - I jak tam głowa rycerzyku? - zapytał z nutką przyjacielskiej złośliwości w głosie.

-Dobrze, dobrze, dzięki ci za troskę - odpowiedziałem z uśmiechem i przysunąłem sobie krzesło. - Jak tam ci idzie kapitanowanie?

Ordan wziął łyk i uśmiechnął się - Całkiem nieźle, poza tym, że jestem najmłodszy wśród kapitanów i czasami czuję się jakbym wcale kapitanem nie był to jest wspaniale.

-Ehhh, to niedługo minie, musisz się zaklimatyzować!

Jedna z dziewczyn próbowała usiąść na kolanie zwiadowcy na co on lekko się odsunął. - Isabello, proszę cię, rozmawiam z przyjacielem. - Dziewczyna zrobiła rozczarowaną minę i poszła nękać innych gości. - A twoje.. rycerzowanie?

-Niedługo się przekonam, nie mogę się już doczekać pierwszej bitwy.

Na twarzy Ordana przez chwilę pojawiło się zaniepokojenie ale szybko ukrył je biorąc łyk piwa. Zwiadowca niedawno wrócił z południa, to właśnie ta podróż zapewniła mu pozycję kapitana. Pomagał Ardeńczykom przy odbiciu twierdzy zajętej przez Endarczyków i podobno wykazał się niezwykłym sprytem. Tak czy inaczej, od czasu gdy wrócił widziałem, że coś było nie tak, Ordan był lekko zestresowany. - Wszystko w porządku? - zapytałem na co młody kapitan ze zdziwieniem oderwał wzrok od kufła i spojrzał na mnie.

-Tak, oczywiście. Dlaczego miałoby nie być w porządku? - Uśmiechnął się i zatrzymał sługę niosącego tacę pieczonych ziemniaków. - Chcesz? Są świetne. - zapytał mnie i zanim zdążyłem odpowiedzieć wręczył mi niewielki talerz ze smakołykami.

-Pewnie... - zamierzałem dopytać się Ordana o jego podróż ale za sobą usłyszałem ciężkie kroki i w sali na moment zapadła cisza. Do sali wkroczyli mężczyźni, było ich pięciu. Byli starzy, każdy jeden, opierali się na zdobionych drewnianych kosturach i powoli szli w stronę króla. Strażnicy wystąpili naprzód ale Tcheod wstał z tronu.

-Nie trzeba - machnął na kapitana królewskiej gwardii - ci szanowni Panowie to moi goście. - Oznajmił z uśmiechem i rozpostarł ramiona. - Proszę za mną - powiedział do starców - mamy wiele do omówienia przyjaciele. A wy! - Tu zwrócił się do uczestników biesiady. - Bawcie się! Za moment powinna przybyć dostawa wina! - Zebrani wybuchli entuzjazmem a Król ręką wskazał aby obcy podążyli za nim i ruszył w stronę sali narad.

-To było... - Odwróciłem się do Ordana ale po zwiadowcy nie było śladu. Rozejrzałem się po sali lecz nie odnalazłem go, w tłumie zobaczyłem za to kogoś innego. Generał Vignar rozmawiał z Lordem Dunstarnem, lord był wielki, zdecydowanie szerszy w barach ode mnie jednak w porównaniu z Vignarem zdawał się niski i drobny. Mężczyźni rozmawiali z poważnymi minami sącząc Ardeńską. Ruszyłem w stronę woja z północy po drodze łapiąc kufel piwa.

-Vignarze! - zawołałem i mentor odwrócił się do mnie. Długa gęsta broda spleciona była w warkocze spięte srebrnymi klamrami. Przez twarz woja przechodziły trzy blizny, ślady po pazurach Likantropa.

-Henry chłopcze! - uśmiechnął się szeroko i wyciągnął w moją stronę ręce w powitalnym geście. Dłonie generała poznaczone były bliznami i śladami po odciskach, na wszystkie pięć palców założone miał pierścienie, każdy z symbolem jednego z wielkich klanów północy. Człowiek o głowie niedźwiedzia był symbolem Beringów, kruk to znak Jarla Farngara, wbity w czaszkę topór to dom morskich wilków, obsydianowy kryształ to klan Rhew a kiel to dom Tarraków. Vignar objął mnie i poklepał po plecach po czym obejrzał ranę na mojej głowie. - Goi się nie najgorzej - stwierdził z uśmiechem i zwrócił wzrok na Lorda Dunstarna - Przepraszam! Gdzież moje maniery? Henry, poznaj Lorda Dunstarna, strażnika gór Adran i mojego dobrego przyjaciela.

Szlachcic wyciągnął do mnie rękę z przyjaznym wyrazem twarzy a ja przyjąłem uścisk. - To dla mnie zaszczyt, Panie - Powiedziałem na co możnowładca kiwnął głową.

- Zapewne chłopcze, zapewne. - Przyjrzał mi się. - A więc to jest Henry Boarn, syn Wesołego Dzika. Vignar nie może się ciebie nachwalić! I ciężko się dziwić, wielkiś jak dąb synu!

-Dziękuję, Panie. Jeśli mogę spytać, mój Ojciec minął Lorda po drodze na północ?

Dunstarn wziął łyk whisky i uśmiechnął się - Tak, minąłem twojego Ojca i królewskie oddziały. Wyglądał, dobrze i kazał mi przekazać ci pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia. A teraz, przepraszam was obu ale muszę... no cóż, udać się na stronę. - Powiedział po czym odstawił szklanekę i ruszył w kierunku podwórza.

Vignar objął mnie swoim potężnym ramieniem - Niedługo przyjdzie czas.

Spojrzałem na niego z pytaniem w oczach - Czas na co?

Generał zdjął kufel piwa z tacy niesionej przez jednego ze służących i wypił duszkiem do dna, przetarł rękawem brodę i westchnął ciężko - Czas byś ruszył na wojnę. - Powiedział to lekko się uśmiechając ale w jego oczach nie widziałem zadowolenia, Vignar... Vignar się bał?

- Ten dzień musi nadejść. - stwierdziłem - Po to mnie szkoliłeś, nie mogę się doczekać gdy stanę z synami naszej ziemi przeciw czarnym lwom. - Wypowiedziałem te słowa najpewniejszym głosem na jaki było mnie stać po czym również sięgnąłem po kufel.

-Endarczycy nie są gotowi na zderzenie z Henrym Boarnem, Młodym Dzikiem. - Uśmiechnął się szeroko i klepnął mnie w ramię. - Dobrze chłopcze, baw się dobrze, niedługo porozmawiamy.

Kiwnąłem głową a gdy Vignar odchodził znów zacząłem rozglądać się za Ordanem ale po zwiadowcy nie było śladu.



“I wystąpił brat przeciw bratu i synowie Pana stanęli naprzeciw upadłego a ten ranił ich i rękę podniósł na ich ojca, I rzekł Foe - Jak my walczymy, tak twory twoje na ziemi walczyć będą póki dzień jest dniem a noc jest nocą”

Był wieczór. Szedłem przez korytarz twierdzy, którą powoli spowijał mrok. Na ścianach wisiały portrety przedstawiające przodków króla Tcheoda, zawsze patrzące na przechodniów swoimi martwymi oczami, jakby oceniając każdego który je mija. Na końcu drogi znajdowała się sala rady wojennej, a przed nią stał Ordan, kapitan IV Jednostki Zwiadowców i mój dobry przyjaciel. Rozmawiał z jednym ze swoich podwładnych o jakiejś niezwykle ważnej sprawie bo szaleńczo przy tym gestykulowali.

-Ordan! - zawołałem pogodnie - witaj przyjacielu!

-Henry - powiedział zwiadowca wyciągając rękę - coraz mniej czasu na rozmowy z przyjaciółmi.

-Takie czasy - odparłem z lekkim uśmiechem - Vignar jest w środku?

-Tak, a co cię do niego sprowadza? Słyszałem, że jutro miałeś ruszać na południe.

-Mój ojciec ruszył nad Avaron i chcę wiedzieć jak mu poszło ufortyfikowanie rzeki.

Twarz Ordana zbladła, a uśmiech zniknął.

-Coś nie tak? - zapytałem.

-Wojska nad Avaron...nie zdążyli na czas... Henry tak mi przykro...

Zepchnąłem Ordana z przejścia i wtargnąłem do pokoju narad, wewnątrz nad stołem z mapą pochylał się generał Vignar.

-Avaron? - wydusiłem z oczyma pełnymi łez i gigantyczną gulą w gardle.

Vignar nie odpowiedział zamiast tego podszedł do mnie i objął - Tak mi przykro Henry, nie dotarli dość szybko...

Co prawda Vignar był wojskowym, człowiekiem z natury zimnym i zdystansowanym, ale dla mnie był też mentorem. To on nauczył mnie jeździć konno i władać mieczem.

-Twój ojciec może jeszcze żyć, nie trać nadziei chłopcze. Dzik jest sprytny, odnajdziemy go. Ale na razie mam dla ciebie zadanie, pojedziesz na północ i zorganizujesz ewakuację Kartnar.

Spojrzałem na Vignara i skinąłem głową nadal powstrzymując płacz po czym wyszedłem z pomieszczenia. Minąłem Ordana na korytarzu i ruszyłem w stronę dziedzińca treningowego. Wyszedłem na oświetlony światłem księżycy plac, był pusty, otaczała mnie nieznośna cisza która dzwoniła w mych uszach,

osaczała mnie, sprawiała ból. Spojrzałem w stronę mieczy treningowych, złapałem za jeden z nich i podszedłem do kukły. Gniew, wściekłość jakiej nie czułem jeszcze wcześniej ogarniała mnie z każdym oddechem. Uniosłem oręż i z mojego gardła wybrzmiał krzyk, trzasnąłem po raz pierwszy, za nim drugi i trzeci. Rąbałem kukłę póki nie poczułem ciepłej krwi wylewającej się z odcisków na mojej dłoni. Spojrzałem na ręce, upuściłem miecz, podszedłem do ściany i ukryłem twarz w dłoniach po czym osunąłem się na ziemię.

-----

Rano znaleźli mnie sprzątacze, siedzącego w piachu, z krwawiącą dłonią i jednym z dwóch rodowych pierścieni mojego ojca zaciśniętym w drugiej. Zawlekli mnie do Vignara, a w jego komnacie posadzili w fotelu.

-Wyjdźcie - rozkazał machnąwszy ręką na służących - Dostałeś rozkaz - powiedział odwracając się do mnie - o świcie miałeś ruszyć na północ, jest południe, a ty nadal tu jesteś.

Nie odpowiedziałem.

-Twoi ludzie na ciebie czekają, więc weź się w garść.

-Nie mogę..

Vignar gwałtownie ruszył w moim kierunku, próbowałem wstać ale generał złapał mnie za kołnierz koszuli i przybił do ściany. - JESTEŚ PRZYWÓDCĄ DO CHOLERY! Tak?! - Dostrzegłem złość w jego oczach ale uścisk lekko się poluźnił. - Zapomnij o bólu, zapomnij o ojcu. Opłaczesz go gdy twój kraj będzie bezpieczny. - Vignar puścił mnie i opadłem na podłogę. - Wszyscy muszą być gotowi na poświęcenia - dodał - bo jak inaczej powstrzymamy zbliżającą się burzę? - Czułem w jego głosie strach, nutkę desperacji. Spojrzałem na mentora, kiwnąłem głową i skierowałem się w stronę drzwi. - I załóż ten cholerny pierścień - powiedział stojąc plecami do mnie. Rozłożyłem dłoń, w której nadal trzymałem rodowy artefakt i wsunąłem go na palec.

Korytarze były puste i ciche, wszyscy dworzanie przebywali w sali tronowej, gdzie król miał jakieś przemówienie. Dotarłem do swojego pokoju, wewnątrz którego panował chłód, drwa w kominku już dawno przestały się żarzyć, ale ja przyszedłem tu tylko po jedną rzecz. Moje ostrze, stało oparte o krawędź łóżka, pięknie wykonany z jelcem na którym widniał symbol dzika, symbol mojego rodu, rodu którego byłem teraz, po śmierci ojca, jedynym przedstawicielem. Podniosłem ostrze i wyszedłem z pokoju. Ludzie przydzieleni mi przez Vignara stali przed bramą twierdzy. Było ich dziewięciu, wszyscy w pełnym rynsztunku, wszyscy świetnie wyszkoleni. Większość znałem z widzenia, każdy z nich był rycerzem, od dziecka ćwiczyli szermierkę i jazdę konną. Byli moim pierwszym oddziałem i razem ruszaliśmy na wojnę, którą według Vignara przegrywaliśmy.

-Witajcie, przepraszam was za to co zaszło - rycerze spojrzeli po sobie - wynikły pewne... komplikacje.

-Spokojnie - powiedział jeden z wojów - dzień dzisiaj chłodny, więc nie było tak źle.

-Mimo wszystko przepraszam - odparłem - No dobrze, wszyscy gotowi? Ruszamy.

Wsiadliśmy na koń, zjechaliśmy ze stołpu i skierowaliśmy się do miasta. Ludzie wyglądali mizernie, dookoła pełno było żebraków i chorych. Wszyscy po prostu schodzili nam z drogi, ulice nie były zatłoczone jak dawniej, co prawda nie mogę powiedzieć, że w mieście panowała absolutna cisza, ale jednak było spokojniej niż zwykle. Łowcy chodzili pod budynkami patrolując swój teren. Dostrzegłem mężczyznę w dziwnym kapeluszu i długim, czarnym płaszczu podchodzącego do jednego z nich i podającego mu kosz z lekami. Po tym, facet zaczął rozdawać medykamenty chorym a dziwny kapelusz zniknął w ciemnej uliczce. Ciekawy widok, gangsterzy pomagający biedocie...

Przy bramie wjazdowej ustawiona była długa kolejka.

-Ludzie chcą się schować przed wojną za murami miasta - powiedział jeden z moich.

-A no chcą - odpowiedziałem - nie ma ich za co winić, Eznar wie jak wzbudzić lęk w prostaczkach.

-Ale my nie jesteśmy prostaczkami - powiedział uśmiechając się rycerz którego imię znałem, Diggory jeśli mnie pamięć nie myli.

-Nie, nie jesteśmy - odparłem, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

-Diggory? - zagadnąłem.

-Tak?

-Wiedziałaś, że Łowcy rozdają w mieście leki? - zapytałem z nadzieją, że mój towarzysz będzie coś wiedział o ciekawym zjawisku którego przed chwilą doświadczyłem.

-Zawsze to robili, po prostu nikt o tym nie mówi... Ich przywódca podobno osobiście wszystko przygotowuje. Dziwny typ, słyszałem o nim plotki.

Zwróciłem oczy z powrotem przed siebie - Staram się nie zwracać uwagi na plotki - odparłem.

-O tych chciałbyś usłyszeć, dzikość, gniew i strach. - zaczął rycerz - Kiedy przywódca Łowców kroczy nocą ulicami miasta, złodzieje i mordercy ukrywają się w zaułkach i modlą aby ich nie zobaczył. A jeśli jakiś desperat zdecyduje się go napaść... Powiedzmy, że szybko tego żałuje.

-Jak się nazywa ten przerażający jegomość? - zapytałem szczerze zaciekawiony.

-Ardal... nie, czekaj, nie Ardal... A no tak! Fergal! Na pewno Fergal. Łazi po mieście w tym swoim kapeluszu, dziwny typ mówię ci. Jak to mówią, bez kija nie podchodzi.

-Dzięki wielkie za radę - odparłem lekko wymuszając uśmiech. No cóż, po powrocie sprawdzę kim jest ten cały Fergal, bo wydaje mi się niezwykle ciekawym osobnikiem.

Plan zakładał piętnaście mil dziennie przez pięć dni, każdy z nas dosiadał wytrzymałego, zdrowego ogiera więc powinniśmy dotrzeć do Kartnar bez problemu w założonym czasie.

-----

Pierwszej nocy niestety nie zatrzymaliśmy się w gospodzie za to trafiliśmy do zrujnowanej stodoły zaraz obok głównego traktu.

-Tutaj się zatrzymamy - rozkazałem. - Złazcie z koni i zbierzcie chrust na ogień.

Rycerze zaczęli rozchodzić się do swoich zadań, a ja skierowałem się do ruin. Stodoła była w tragicznym stanie, stała tu pewnie pusta od lat. W suficie była wielka dziura, a deski podłogowe uginały się pod ciężarem moich stóp. Za plecami usłyszałem dźwięk.

- Ale nora. - powiedział jeden z rycerzy - Gunter. - przedstawił się wyciągając do mnie rękę.

Gunter był wyższy ode mnie, miał krótkie brązowe włosy odgarnięte do tyłu i gęstą krótko przystryżoną brodę. Niebieskie oczy sprawiały wrażenie bystrych -Henry - podałem rękę.

- Ciebie przedstawiać nie trzeba - uśmiechnął się - widziałem jak rok temu wysadziłeś z siodła Reginalda Reldiwra, jesteś naprawdę dobry.

- Dziękuję, ale wydaje mi się, że zdolność walki w turniejach raczej nie przyda mi się w trakcie bitwy.

- Nigdy nie wiadomo, podczas bitwy każda zdolność może się przydać.

- Racja. - zgodziłem się.

Gunter wszedł trochę głębiej w ruinę, nachylił się nad jedną z belek, które kiedyś podtrzymywały strop. - Ciało - powiedział - a właściwie szkielet.

- Musiał być wewnątrz, gdy dach się załamał - zbliżyłem się do trupa. - Pomóż mi z tym - dodałem łapiąc za belkę.

Razem spróbowaliśmy podnieść belkę, bez skutku.

- Diggory! - krzyknął Gunter.

Po chwili Diggory pojawił się w drzwiach. - Czego?

- Pomóż nam z tym.

- Po jaką cholerę chcecie wyciągać tego trupa?

-Żebyś mógł zadawać głupie pytania baranie - powiedziałem ostro i gestem ręki nakazałem mu pomóc.

Ponownie spróbowaliśmy, również bez skutku.

-Ardal! - krzyknął Diggory.

Ardal przybiegł do stodoły.

-Co wy robicie? - spytał, gdy tylko nas zobaczył.

-Klepiemy się po zadach - powiedział Gunter - chodź tu, pomóż nam.

Ardal był bardziej posłuszny niż Diggory i bez zbędnego marudzenia podszedł do belki.

Wspólnymi siłami unieśliśmy drewno i odrzuciliśmy na bok.

-Bogowie, w końcu - ucieszył się Gunter.

Owinęliśmy ciało w koc i wynieśliśmy na podwórze.

-Ardal, Gunter, kopcie - nakazałem chłopakom i wskazałem ziemię przed stodołą.

Chwilę się wyklucali, szczególnie Gunter, ale jak zagroziłem, że obetnę im racje, to się uspokoili i grzecznie chwycili za łopaty. Gdy chłopcy dzielnie kopali, ja szukałem w plecaku monet. Miały służyć jako zapłata dla Flumine, przewoźniczki zmarłych, ja osobiście nie jestem specjalnie religijnym człowiekiem ale mimo wszystko wierzę. Za to słyszałem, że Gunter bierze wszystko niezwykle poważnie, ale cóż, co zrobić. Kwestia wychowania. Gdy skończyli, delikatnie ułożyliśmy ciało w dole i zakopaliśmy.

-Ktoś chce coś powiedzieć? - spytałem chłopaków. Nikt nie odpowiedział, więc stwierdziłem, że wezmę na siebie tę odpowiedzialność. - Nie mam pojęcia kim byłeś - zacząłem. - Mogę tylko zgadywać, że należałeś do gminu. Zapewne w swoim życiu nie spodziewałeś się, że pochowa cię grupa wysoko urodzonych rycerzy. Niech Flumine przewiezie cię do siedziby Artha na spokojnej wodzie, niech demony Foedariego nie mącą wód wiecznej rzeki. - zakończyłem standardową regułką i położyłem kamień runiczny na mogile.

-No to klasyczny wieczorny pogrzeb mamy za sobą... - Zażartował Diggory - kto jest głodny? - zapytał. Ręka Guntera wyskoczyła w powietrze.

Tego wieczora śpiewaliśmy i jedliśmy wszyscy w dobrych nastrojach, w pewnym momencie dopadła mnie melancholia, przypomniał mi się mój ojciec. Odszedłem od ogniska i skierowałem się z powrotem do stodoły. Wkroczyłem do środka i spojrzałem nad siebie, przez dziurę w dachu dostrzegłem świecący jasno księżyc. Gdzieś pod tym samym księżycem jest mój ojciec, czekający na ratunek. - Nadchodzę - powiedziałem w pustkę - nie obawiaj się ojczu, jestem już blisko. - usiadłem na drewnianym krześle stojącym pod ścianą, uniosłem dłoń na palcu której założony był pierścień mojej rodziny. Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, zastanawiałem się nad tym co nadejdzie. Nie mam rodzeństwa, jeśli mój ojciec odejdzie... zostanę sam... Zdjąłem pierścień z dłoni i włożyłem go do kieszeni skórzanej kamizelki. Siedziałem tak, nucąc piosenkę którą śpiewano mi gdy byłem mały, zawsze czułem się bezpieczniej gdy te kojące dźwięki rozbrzmiewały dookoła mnie.

-----

Drogi były spokojne, chociaż mijaliśmy wielu uciekających przed wojną. Czwartego dnia dotarliśmy do Dunstarn - twierdzy położonej w górach i jednego z niewielu przejść do południowej części kraju. Bu-

dowła zdawała się wisieć pomiędzy dwoma szczytami, okolona górami niczym pancernem. Zamku tego nigdy nikt nie zdobył i jak przekonywał lord Dunstarn, nigdy nikt nie zdobędzie. Południowej bramy strzegło czterech strażników, każdy z nich miał na sobie wysokiej jakości pancierz i każdy sprawiał wrażenie zdyscyplinowanego.

-Stać! - rozkazał strażnik, po akcencie rozpoznałem rodaka Vignara - Kim jesteście i co was tu sprawadza?

-Jesteśmy rycerzami ze stolicy i jedziemy na północ z misją ewakuacji Kartnar. - oznajmiłem i wyprostowałem się w siodle. Strażnik chyba chciał zadać kolejne pytanie ale przerwał mu ktoś nad nim.

-Przepuść ich - ktoś krzyknął z murów, głos wydał się znajomy.

Wjechaliśmy do twierdzy. Żołnierze wewnątrz szykowali się do oblężenia, niektórzy ćwiczyli na placu inni wnosili na mury kosze pełne kamieni i toczyli beczki ze smołą. Przy schodach prowadzących nad bramę stał ktoś, kogo się nie spodziewałem. Ordan, jak zwykle uśmiechnięty, podpierający się na łuku.

-Witaj Henry! - zakrzyknął wesoło.

-A ty co tu robisz darmożjadzie? - odpowiedziałem z uśmiechem podając Ordanowi rękę.

-Vignar wysłał mnie żebym was pilnował chłopcy, będę krok za wami kiedy wkroczycie do północnej części kraju. Bo widzisz Henry, za tym murem nie ma już wielu niedźwiedzi, tylko czarne lwy - zakrzyknął z nutą ojcowskiej przestrogi w głosie i pokiwał mi palcem - Kartnar już szykuje się do oblężenia więc musicie się śpieszyć.

-Oczywiście, jutro ruszamy bladym świtem - odparłem - Byłeś tam już? Na północy? - zapytałem i wziąłem łyk wody z bukłaka.

-Niestety tak, musiałem zniszczyć kontrabandę Eznara ukrytą w jednej z wiosek, paskudna robota... Świat za tym murem wygląda inaczej niż ten który znasz, bądź na to gotowy.

-Ordanie, mój drogi chłopcze, ja zawsze jestem gotowy! - odparłem pogodnie.

-Mam szczerą nadzieję, że tak właśnie jest - zaśmiał się Ordan, ale w jego oczach nie zobaczyłem wesołości - a teraz na poważnie, chodź za mną.

Rozkazałem moim towarzyszom, aby rozsiodłali konie i zczekali na mnie w wielkiej sali. Ja zaś ruszyłem za moim przyjacielem. Weszliśmy do stołpu, twierdza od wewnątrz była równie imponująca jak z zewnątrz. Sala jadalna miała cztery kominki, minęliśmy stoły i Ordan otworzył kolejne drzwi. Pomieszczenie było spore na środku stał zdobiony stół z mapami, a na ścianach wisiały futra i czaszki zwierząt, zapewne zdobyczne lorda. Oczywiście nie mogło zabraknąć portretu lorda Dunstarna we własnej osobie. Stojący ze swym dwuręcznym młotem na skórze zdjętej z czarnego lwa.

-Eznar przeszedł rzekę sześć dni temu, teraz idzie w stronę Kartnar, ale ja i moi ludzie skutecznie spowalniamy jego marsz. - Powiedział Ordan siadając za stołem.

-Próbuje odciąć nas od klanów - stwierdziłem spoglądając na mapę.

-I uda mu się to, jeśli zdobędzie tę twierdzę - odpowiedział zwiadowca stukając palcem o blat - Beringowie opuścili swoje ziemie i ruszyli na południe.

-Wszyscy? Cały klan? - zapytałem ze zdumieniem, Beringowie nigdy jeszcze nie pozostawili swoich ziem.

-Tak, wszyscy, osiemdziesięciu świetnie wyszkolonych wojowników, potrafiących zamieniać się w trzymetrowe niedźwiedzie. - Ordan uśmiechnął się na myśl o sojusznikach.

-Zakładam, że Eznarowi się to nie spodobało - również się uśmiechnąłem - osiemdziesięciu Beringów może poważnie namieszać w jego planach.

-Mamy za to inny spory problem - powiedział Ordan ze zmartwieniem w głosie - mianowicie Ardeńczycy uginają się pod naporem Eznara. Jeśli oni upadną będziemy otoczeni, a na południu nie ma drugiego Dunstarn.

-Ich książe prowadzi już ewakuację - odpowiedziałem - wycofają się za szeroką rzekę i tam ufortyfikują.

-Ewakuacja całego państwa będzie trwała około miesiąca - Ordan podrapał się po głowie jakby się nad czymś zastanawiał - to będzie bardzo długi miesiąc...

-Obawiam się, że będzie dłuższy niż się nam obu wydaje - spojrzałem po raz kolejny na mapę - coś jeszcze?

-Nie, nie to wszystko. Idziemy się czegoś napić? - zapytał.

-Niestety nie dzisiaj - odparłem - nie jestem w nastroju - dodałem uśmiechając się lekko.

-Stres?

-To moja pierwsza misja i do tego jest poważna, więc tak, stres - odpowiedziałem z nutką złośliwości w głosie.

-No cóż w takim razie do zobaczenia za trzy dni - Ordan uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

-Oby drogi były bezpieczne - powiedziałem i uściśnąłem jego dłoń, po czym wyszedłem z sali.

Cały dzień jazdy konnej sprawił, że nie miałem siły na absolutnie nic. Moi ludzie czekali na mnie w sali jadalnej, siedzieli przy stołach i jedli.

-Już rozkradacie spiżarnie lorda? - Zawołałem - Jak tak dalej pójdzie to nie starczy mu zapasów na zimę!

-Zamek jest zaopatrzony na dwuletnie oblężenie, więc raczej nie narobimy dużych szkód - Wybełkotał Diggory z ustami pełnymi jedzenia.

-Co ty tam mamroczesz? Ciężko cię zrozumieć z gębą pełną chleba i wieprzowiny - Zaśmiał się Ardal.

-Panowie, czas przejść do poważnych spraw...

-Ale to jest poważna sprawa! - wtrącił się Ardal - Co zrobimy kiedy Diggory się spacie? Będziemy lekko

mówiąc w dupie...

Diggory wykorzystał moment nieuwagi Ardala i uderzył go otwartą dłonią w tył głowy. Gunter pijący właśnie piwo nie mógł powstrzymać śmiechu i parsknął wypluwając napój na siedzącego przed nim Rowyna.

-Kurwa! - krzyknął Rowyn z furią w głosie - Gunter, ty cholerny durniu!

Rowyn już chciał wstać, ale powstrzymałem go kładąc mu rękę na ramieniu i ściągnąłem z powrotem na ławę.

-Koniec! - krzyknąłem ledwo powstrzymując się od ryknięcia śmiechem - Musimy omówić naszą dalszą podróż. Ruszamy jutro o świcie...- Diggory siorbnął, spojrzałem na niego, ale jego wzrok był skupiony na potrawce - Ruszamy o świcie, pojutrze powinniśmy dotrzeć.... - Diggory znowu siorbnął, tym razem Ardal też na niego spojrzał.

-Diggory! - krzyknął do niego Ardal.

-Co? - zapytał Diggory.

-Przestań zreć!

-No dobra już...- burknął rycerz odsuwając od siebie miskę z bardzo niezadowolonym wyrazem twarzy.

-Wracając do tematu - Powiedziałem - Pojutrze powinniśmy dotrzeć do Kartnar. Oddział zwiadowców będzie podążał naszym szlakiem - spojrzałem po towarzyszach - Eznarskie patrole w okolicy są regularnie likwidowane, więc nie powinniśmy napotkać większych trudności.

Wszyscy na mnie patrzyli, widziałem w ich oczach, że są gotowi. Gotowi do walki i gotowi na poświęcenia, każdy z nas był świetny w tym co robił i wiedziałem, że mogę na nich liczyć.

-To już chyba wszystko, jutro o świcie wszyscy mają być przy stajniach.

Rycerze kiwnęli głowami na potwierdzenie.

-No to do jutra - uśmiechnąłem się i odwróciłem na pięcie - Muszę się przespać - dodałem wychodząc z sali.

Skierowałem się do swojej komnaty. Po drodze mijałem służących, zbroja ciążyła na mnie i myślałem tylko o tym aby jak najszybciej się jej pozbyć. Moja sala znajdowała się w skrzydle gościnnym. Drzwi wykonane były z solidnego drewna, gdy je popchnąłem ujrzałem wnętrze, pomieszczenie było spore, w kominku palił się ogień a na podłodze leżały futra - Lord raczej nie narzeka na brak środków - mruknąłem do siebie. Najbardziej jednak ciekawiło mnie łóżko, i zdecydowanie nie byłem rozczarowany. Było sporych rozmiarów a pościel czysta, bardzo kusilo mnie aby po prostu paść na nie plackiem ale wiedziałem, że rano bardzo bym tego żałował. Usiadłem więc na stołku przed łóżkiem i zacząłem męczyć się ze zbroją, trochę to zajęło, ale w końcu wygrałem z opancerzeniem i padłem na łożo. -Jutro ważny dzień - pomyślałem zamykając oczy.

-Henry?! - Obudził mnie głos i pukanie do drzwi - Henry żyjesz? - głos się powtórzył, spojrzałem w stro-



nę okna. Na zewnątrz dalej panował mrok - Żyję!- odpowiedziałem - już idę, dajcie mi chwilę. -dodałem unosząc się na łokciach. Odkryłem kołdrę i poczułem uderzenie zimna. Ogień w kominku zgasł, spojrziałem niechętnie w stronę zbroi leżącej na fotelu. - Słyszysz koronie, warto jest wstawać przed świtem dla wyższego celu - powiedziałem sam do siebie bez większego przekonania i zacząłem zakładać pancerz.

Droga zajęła nam kilka godzin. Mijaliśmy puste wsie i spalone pola, lasy w tej części królestwa były o wiele gęstsze niż na południu. W pewnym momencie usłyszeliśmy wrzask, wrzask mężczyzny.

-Co to było? - zapytał Diggory

-Nie mam pojęcia, ale miejcie się na baczności - odparłem.

Później cisza, przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Wyjechaliśmy z zakrętu, w odległości mniej więcej stu metrów od nas na poboczu szedł człowiek.

Im bliżej niego byliśmy tym więcej szczegółów byłem w stanie dostrzec. Mężczyzna był przeciętnego wzrostu, miał długie czarne włosy i krótką brodę. Ubrany był w strój zaskakująco wysokiej jakości, skórzany pancerz wydawał się solidny, ale całe ubranie pokryte było brudem. Zza jego pleców wystawała kolba kuszy a przy pasie wisiał miecz. Przez zarost nie byłem w stanie dostrzec zbyt wielu szczegółów na samej twarzy, ale spostrzegłem jego oczy, zielone, wydawały się niezwykle zmęczone.

-Witaj dobry człowieku! - krzyknąłem kiedy zbliżyliśmy się do mężczyzny - jedziemy w stronę rzeki Avaron, czy nie spostrzegłeś może w okolicy eznarskich patroli? - zapytałem zsiadając z konia.

-Na szczęście nie Panie - odpowiedział - ale jeśli jedziecie w stronę rzeki to wiedzcie, że na polu bitwy możecie natknąć się na nekroman...

Usłyszałem świst, odwróciłem się i zobaczyłem Diggory'ego z którego szyi sterczał belt. Sięgnąłem dłonią w stronę miecza, ale kiedy musnąłem palcami rękojeść poczułem uderzenie w tył głowy i upadłem na ziemię.

-----

W mieście było coraz gorzej. Ludzie umierali na ulicach, cały kraj pochłonęła zaraza. Niektórzy mówili, że to Ardeńczycy ją wywołali, aby osłabić państwo przed rzekomym najazdem. Nie wierzyłem w tę teorię, Król Ardenii nie zaatakowałby swojego jedyne go sojusznika. Inni twierdzili, że plaga jest sprawką nekromantów, i to było już bardziej prawdopodobne, nekromanci od lat pozostawali nieuchwytni i od lat budzili grozę w sercach mieszkańców tego kraju.

-Hardy? - poczułem dłoń Annis na ramieniu - siedzisz tu od wczoraj, powinieneś się przespać.

-Wiesz, że nie mogę. Co będzie kiedy ktoś tu wejdzie, gdy będę spał? - zacisnąłem palce mocniej na uchwycie kuszy.

-Nikt nie zdąży otworzyć tych drzwi w krótszym czasie niż mi zajmie obudzenie ciebie.

- Jesteś pewna? Sen mam dosyć twardy. - stwierdziłem z uśmiechem

-Tak, kochanie, jestem pewna - odwzajemniła uśmiech.

-Jak zwykle masz rację - odpowiedziałem i spojrzałem na moją ukochaną. Jej długie brązowe włosy opadały na moje ramiona, Annis była mojego wzrostu, miała ciemno -zielone oczy i krótki prosty nos. Nadal nie mogłem uwierzyć w to jakim cudem coś tak pięknego jak ona pojawiło się w moim życiu. I oczywiście była też mała Anna, kolor włosów odziedziczyła po matce i mam nadzieję, że odziedziczy po niej również ogólną urodę.

-Idź spać, ja popilnuję - nalegała Annis.

-Dobrze królowo - odpowiedziałem wstając z fotela i kierując się w stronę sypialni.

Kiedy już miałem przejść przez framugę usłyszałem uderzenie w główne drzwi.

-----

Obudziłem się gdy wóz podskoczył na wyboju. Głowa bolała mnie jak jasna cholera.

-Ja pierdole, znów to samo. - zakląłem pod nosem.

Przede mną w klatce leżał ten młodzik, nadal był nieprzytomny. Rozejrzałem się dookoła, klatka była niewielka, oprócz nas siedział w niej jeszcze jeden chłopak, wydawał się parę lat starszy od tego którego znokautowałem. Ten drugi był wyższy od pierwszego, miał krótkie włosy odgarnięte do tyłu i gęstą aczkolwiek krótką, dobrze zadbaną brodę. Obok wozu za moimi plecami szedł jeden z ludzi Eznara.

-Przepraszam? Panie strażniku? - żołnierz nie odpowiedział - Słyszysz mnie pan?

- Czego? - Burknął Endarczyk.

-Świetnie, czyli słyszysz! - zakrzyknąłem wesoło - dobra to teraz mnie posłuchaj, jestem tylko najemnikiem nie stoję po stronie Tcheoda, właściwie to nie stoję po żadn...

-Mam w dupie kim jesteś, a teraz stul dziub i siedź grzecznie w klatce.

-Dobra, spokojnie, już będę cicho... A tak właściwie to gdzie jedziemy? Bo kojarzę, że ten dryblas z toporem coś powiedział, ale chwilę po tym zostałem uderzony i nie pamiętam dokładnej nazwy.

-Darnan - wycedził przez zęby strażnik wyraźnie już podenerwowany moim gadulstwem, ale ja nie miałem zamiaru odpuszczać.

-Daleko jeszcze do celu naszej podróży przyjacielu?

-Na wszystkich bogów, czy mógłbyś zamknąć swoją parszywą mordę?! - krzyknął.

-Oczywiście, jak tylko dowiem się ile jeszcze czasu będę musiał siedzieć za tymi cholernymi kratami! - odpowiedziałem krzykiem na krzyk.

-Koniec z tym! - strażnik sięgnął po sztylet..

-Spokojnie! - krzyknął do niego ktoś za powozem - potrzebujemy ich żywych.

-Dowódcu, ale ten skurwiel nie chce się zamknąć! - poskarżył się żołnierz.

-Buhuhu.. Człowiek którego bezprawnie porwaliście, chce wiedzieć co zamierzacie z nim zrobić, To takie niesprawiedliwe! - zakrzyknąłem ironicznie.

Strażnik uderzył włócznią w kraty.

-Dobra, dobra już będę cicho - odparłem na jego grubiaństwo.

Bo widzicie moi drodzy, Hardy zawsze jest grzeczny i nigdy nie planuje wszczynać konfliktów.

-----

Jakąs godzinę po moim krótkim dialogu z szanownym panem strażnikiem młodzik w blond włosach otworzył oczy.

Podniósł głowę, rozejrzał się po klatce i szarpnął rękoma próbując zerwać więzy.

-To na nic - powiedziałem.

Chłopak spojrzał na mnie. - Skąd wiesz?

-Bo jeśli ja próbowałem bez skutku, to tobie na pewno się nie uda.

-Gdzie jedziemy? - zapytał.

-Panie strażniku? - zagadałem do mojego przyjaciela żołnierza - Mój towarzysz niedoli pyta się gdzie jedziemy.

Strażnik westchnął.

-Darnan... - odpowiedział zrezygnowanym głosem.

-Dokładnie! - powiedziałem wesoło, spoglądając na młodego rycerza.

Chłopak spojrzał na mnie jakby próbował sobie coś przypomnieć.

-Zaraz.. Ty mnie uderzyłeś! To przez ciebie padłem!

Młodzik próbował rzucić się na mnie, ale sznur go powstrzymał. Zaczął wściekle szarpać za więzy, a kiedy go to zmęczyło rozpoczął próby budzenia swojego kolegi.

-Gunter! Gunter obudź się! - syknął potrącając swojego przyjaciela czubkiem buta.

Gunterowi najwyraźniej podobał się obecny stan rzeczy, bo nie otworzył oczu.

-Obudzi się, w swoim czasie - spróbowałem zacząć dialog - kim jesteście chłopcy?

-Jesteśmy elitarnym oddziałem wysłany...

Parsknąłem śmiechem. Młodzik spojrział na mnie zdziwiony.

-Coś cię bawi? - zapytał.

-Elitarny oddział został pokonany przez kilkunastu żołdaków?

-Zostaliśmy otoczeni! - oburzył się - zaatakowali nas z zaskoczenia! - Młodzik po raz kolejny rozejrzał się dookoła. Dopiero teraz uświadamiając sobie, że jedynymi którzy przeżyli był on i jego nieprzytomny przyjaciel. Zacisnął pięści i spojrział z nienawiścią na żołnierzy prowadzących powóz.

-Nic już na to nie poradzisz...

-Na co?

-Śmierć twoich ludzi. Jedyne co możesz teraz zrobić to przeżyć, żeby wymordować cholerne gnidy które ZAMKNEŁY MNIE W TEJ JEBANEJ KLATCE!!

-MORDA!! - Ryknął dryblas w czarnej zbroi.

-SPIERDALAJ! - Odkrzyknąłem. - Wracając do tematu, teraz możesz tylko przeżyć, żeby walczyć.

-Taki mam zamiar - Stwierdził rycerz.

-Bardzo cieszy mnie ta informacja - lekko się do niego uśmiechnąłem. - Jutro w południe powinniśmy dotrzeć do Darnan - powiedziałem - Gdzie będziemy torturowani dopóki nie umrzemy z wycieńczenia.

-Nie podoba mi się ta wizja - odpowiedział.

-Mnie również. Jak ci na imię?

-Henry. Sir Henry Boarn, chociaż teraz nie ma to większego znaczenia.

-Hardy, po prostu Hardy - skinąłem głową - gdyby nie sznur to uścisnął bym ci rękę.

Na twarzy chłopaka zagościł ślad uśmiechu.

-----

Dotarliśmy.

Mury Darnan były wysokie, zbudowane z czarnego kamienia. Wszędzie dookoła wisiały lwie sztandary lekko powiewające na wietrze. Dzień był zimny i lekko siąpił deszcz, co jak widać wprowadziło żołnierzy i mieszkańców w grobowy nastrój. Wszyscy przemykali jak cienie, patrząc pod nogi. Nie słychać było rozmów czy śmiechów tylko deszcz uderzający o dachówki i kowala ostrzącego miecz na kamieniu szlifierskim.

Powóz się zatrzymał.

-Wysiadać - powiedział do nas strażnik otwierając klatkę.

-Pomóż mi z nim - wskazałem palcem na leżącego rycerza.

Złapaliśmy chłopaka i z trudem podnieśliśmy go do góry. Pancernik zdecydowanie nie ułatwiał nam zadania.

-Czemu jeszcze się nie budzi? - zapytał Henry.

-Obejrzę go, jak dojdziemy do celu, na razie siedź cicho i nie podnoś głowy. - Deszcz przesiąkał przez mój płaszcz, błoto nie ułatwiała nam ciągnięcia młodego rycerza.

Na plac wyciągnięty został mężczyzna, jego sflaczałe ciało wisiało w rękach żołnierzy. Nagle podniósł głowę, zaczął się szarpać i jęczeć gdy zobaczył co go czeka. A czekało go coś co prędzej czy później dopada nas wszystkich. Śmierć, dla niego był to zalany posoką pieniek na placu. Im bliżej celu tym bardziej się rzucał. Nie mógł mówić, brak zębów i blizny wokół ust zdradzały przyczynę. Jęczał, jęczał i miotał się. Położyli jego głowę na pniaku, kat wyszedł z budynku. Wysoki mężczyzna trzymający dwuręczny miecz. Podeszedł do biedaka, nachylił się nad nim, zapytał zapewne o ostatnie życzenie, niestety skazaniec nie mógł mówić więc dalej tylko jęczał. Kat wzruszył ramionami, wyprostował się, wykonał w powietrzu gest dłonią po czym uniósł ostrze i opuszczył je na szyję skazańca. Skomlenie ustało gdy głowa wleciała z pluskiem w błoto.

-Koniec! Ruszać się do cholery! - Strażnicy poprowadzili nas przez plac a następnie korytarzami zamku. Strzaskane meble, porwane flagi rodu Darnan i zniszczone gobeliny. Eznar kocha sztukę, zdecydowanie nie spodobałoby się mu postępowanie jego ludzi. Dotarliśmy do spiralnych schodów prowadzących w dół, zejście do podziemi gdzie znajdowały się lochy i sala tortur. Jeśli salę tortur można nazwać topornie zbudowane, oblepione zaschniętą krwią krzesło, stojące przed celami na środku pomieszczenia.

-Tutaj - żołdak wskazał palcem celę - bądźcie grzeczni i czekajcie na kata.

Wciągnęliśmy naszego towarzysza do środka i usiedliśmy pod ścianą.

-Nie mieliście jakiegoś planu na taką sytuację? - zapytałem. - Elitarny oddział musiał chyba mieć jakieś wsparcie, ubezpieczenie.

W tym momencie oczy chłopaka zabłyśły i po raz pierwszy odkąd go zobaczyłem szeroko się uśmiechnął.

-Zwiadowcy. - szepnął przechodząc podekscytowany przez celę i siadając obok mnie.

-Co z nimi?

-Zaraz za nami jechał oddział zwiadowców, mieli nas pilnować.

-Skąd wiesz, że jeszcze żyją? Jakoś nie ostrzegli was przed lwami....

-Tego nie mogę być pewien, ale to nasza jedyna nadzieja.

-Dobra teraz lepiej zajmijmy się nim - wskazałem na nieprzytomnego.

-Nazywa się Gunter.

Podszedłem do Guntera i podniosłem jego głowę. Jej tył był zakrwawiony i pomiędzy włosami dostrzegłem paskudną ranę.

-Nie mieliście medyka w waszej grupie? - zapytałem,

-To jest nasz medyk - oznajmił chłopak i wskazał palcem na nieprzytomnego przyjaciela.

Spojrzałem na chłopaka i zauważyłem, że klatka przestała się unosić.

-Nie oddycha! - krzyknąłem do Henry'ego. -Zdejmuj jego napierśnik!

Henry zaczął walczyć z napierśnikiem a ja zająłem się naramiennikami.

-Zdjęty! - powiedział rycerz.

-Odsuń się! - krzyknąłem i zacząłem uciskać klatkę chłopaka. - Dawaj młody! Obudź się! Pierwsze żebro pękło.

-Wstawaj! - uderzyłem go pięścią w klatkę.

Drugie żebro.

-Do kurwej nędzy! - Wprowadziłem powietrze do organizmu. - Żyj!

Gunter otworzył oczy i łapczywie zaczął łapać powietrze.

-Spokojnie! Leż! - krzyknąłem do niego.

Rycerz rozejrzał się po celi, krzywił się z bólu, kiedy zobaczył Henry'ego dostrzegłem łzy w jego oczach.

-Już spokojnie, ból w klatce jest normalny - uśmiechnąłem się do niego lekko - Połamałem ci żebra, ale żyjesz.

-Henry... - wykrztusił Gunter - Diggory.. Ardal..

-Wiem, wiem przyjacielu..

-Lwy.. - Smutek w oczach młodego rycerza zmienił się w nienawiść. - ..zapłacą..

-Tak, zapłacą nam za to - odarł Henry i położył dłoń na ramieniu Guntera.

Zdjąłem płaszcz i położyłem go pod głowę rannego po czym odwróciłem się i usiadłem obok Henry'ego.

-Jak daleko są ci zwiadowcy? - zapytałem - On długo nie pociągnie bez opieki, a tu jej nie dostanie.

-Pół dnia drogi za nami - odpowiedział - Jeśli wrócili do twierdzy po posiłki to powinni tu dotrzeć jutro o zmroku.

-W celi obok są trzy osoby, jeśli wezmą ich przed nami to powinniśmy dotrzeć do zmierzchu. Usiedliśmy, słuchając nieregularnego oddechu Guntera. Po pewnym czasie Henry najwidoczniej miał dość ciszy.

-Kim jesteś? - zapytał.

-Aktualnie?

Chłopak kiwnął

-Aktualnie jestem więźniem - odparłem z nutą złości w głosie.

-Dobrze wiesz o co mi chodzi. - zachnął się młody rycerz.

-No dobrze... Ogólnie można chyba powiedzieć, że jestem najemnikiem. Przynajmniej kiedyś nim byłem.

-Coś się stało? - zapytał.

-Chyba po prostu się zestarzałem...

-Wiesz, nie tak to wszystko miało wyglądać - kontynuował.

-Nic nigdy nie wygląda tak jak powinno. - odparłem - Bogowie śmieją się z nas każdego dnia. - Spojrzałem na chłopaka, jego imię... Skądś znałem jego ród. - Jesteś synem Wesołego Dzika prawda? - zapytałem gdy udało mi się odnaleźć w pamięci informacje.

Chłopak wyglądał na niezwykle zaskoczonego - Znasz mojego ojca? - spytał i zmierzył mnie wzrokiem.

-Tak, znam twojego staruszka, poznałem go wiele lat temu w Dunstarn.

Mina młodego była bezcenna, wyglądał jakby ktoś mu właśnie powiedział, że nekromanci w wolnym czasie uczą się stepować. - Jakim cudem, prosty najemnik poznał jednego z najbogatszych lordów w Królestwach Zachodu?

-Każdy potrzebuje czasami najemnika.

-Nie wiem czy chcę wiedzieć do jakiego zadania wynajął cię mój ojciec.

-Mądry chłopak - stwierdziłem uśmiechając się.

Henry chyba przypomniał sobie o czymś niedobrym bo jego mina zrzędła a wzrok utkwiał wpatrzony w posadzkę.

-Wszystko w porządku? - Po chwili zorientowałem się, że zadałem niezwykle głupie pytanie.

-Poza tym, że większość moich ludzi nie żyje i siedzę w celi oczekując tortur? Kartnar upadnie, jego ludność zostanie wyrżnięta bo rycerze którzy mieli przybyć im na ratunek nigdy się nie pojawią. - Chłopak nie wyglądał zbyt dobrze, mogłem mieć tylko nadzieję, że nie postanowi zrobić czegoś głupiego.

-Kilka miesięcy temu... - zacząłem chcąc odwrócić jakoś uwagę młodzieńca - byłem na służbie jednego z Jarłów północnych klanów. Miał problem z wilkołakiem a jako, że pracowałem niegdyś z grupą Łowców ze stolicy, stwierdziłem, że spróbuję wykonać zlecenie. - Henry przestał wpatrywać się w podłogę chyba zaintrygowany początkiem historii. - Trzeciego dnia moich poszukiwań, bestia porwała chłopca.

-Porwała? - zapytał młody rycerz i spojrzał na mnie - Wilkołak porwał chłopca? Nie rozszarpał go na miejscu?

Uśmiechnąłem się w duchu, sukces osiągnięty - Byłem tym faktem zaskoczony w równej mierze co ty teraz - kontynuowałem opowiadanie - podążyłem szlakiem metamorfa i po dniu pościgu znalazłem pieczarę. Ze środka jaskini wydobywał się jęk, wiedziałem co to oznacza więc kazałem ludziom Jarla poczekać przed wejściem a sam zszedłem w dół.

-Niezbyt to rozsądne z twojej strony - wtrącił Henry.

-Jak już mówiłem, wiedziałem co zastanę wewnątrz. - odparłem - Na czym to ja... ach tak, zszedłem w pieczarę. Po kilkunastu metrach dotarłem do skalnego pomieszczenia w którym tliło się ognisko oświetlające ściany jaskini. Pod jedną z tych ścian leżał chłopiec, trzymając na kolanach głowę mężczyzny.

Henry najwyraźniej był zaskoczony rozwojem wypadków bo zmarszczył brwi w zdziwieniu.

-Widzisz, wilkołak był ojcem tego chłopca, gdy tylko próbowałem do niego podejść, dzieciak wyciągał z zapały nóż i groził mi śmiercią jeśli podejść jeszcze krok. Próbowałem go uspokoić, prosiłem aby wyszedł z jaskini, ogrzał się przy ogniu, chłopak odmawiał za każdym razem. - Henry patrzył na mnie teraz z zaciekawieniem, dawno nie opowiadałem nikomu historii ale najwyraźniej nie wyszedłem z sprawy. - Stałem tak w zimnym, podziemnym pomieszczeniu, prosząc chłopca o zostawienie ojca do momentu gdy nie usłyszałem głosów nadchodzących żołdaków. Wbiegli do pomieszczenia a za nimi Jarl, próbowałem ich powstrzymać ale oni po prostu wyszarpali krzyczące dziecko i przebili jego ojca grotem srebrnej włóczni.

- I co zrobiłeś? - spytał Henry.

- A co mogłem zrobić? Wróciłem do ich miasteczka, odebrałem nagrodę i poszedłem spać.

-A chłopiec?

-Ach tak, co zrobił chłopiec po tym jak jego rodzic został zamordowany przez ludzi Jarla... Tej nocy, Wódz wydał wielką ucztę, zaprosił wszystkich na posiłek z okazji śmierci straszego potwora. Gdy lu-



dzie poszli spać, pijani i przejeźdzeni, chłopiec zdjął z jednego ze stołów nóż do krojenia mięsa, podreptał do komnaty śpiącego Jarla i poderżnął mu gardło.

- Ha! - uśmiechnął się Henry - Wielki wódz nie pomyślał o takim rozwoju wypadków?

-Najwyraźniej nie.... Jak myślisz, co było największym błędem Jarla?

Henry spojrział na mnie i zastanowił się przez chwilę. - Nie zauważył zagrożenia, nie zauważył zbliżającej się po niego kostuchy.

-Właśnie - odparłem.

Henry uśmiechnął się szeroko po czym sprawdził czy z Gunterem wszystko w porządku.

-Dobra młody.... Muszę się przespać, obudź mnie jeśli twój przyjaciel przestanie oddychać, zymiotuje krwią albo coś takiego.

-Dobrze, życzę dobrych snów.

-Mhm - mruknąłem w podziękowaniu i podłożyłem pod głowę płaszcz jako poduszkę.

-----

Drugie uderzenie.

-Podaj mi kuszę.

Annis wyciągnęła broń w moją stronę

Trzecie uderzenie.

Naciągnąłem cięciwę i założyłem belt.

Czwarte uderzenie.

-Każ Annie się schować.

Piąte uderzenie. Jedna z belek w drzwiach lekko się ugięła.

Poluzowałem miecz w pochwie i sztylet przy pasie.

Szóste uderzenie. Drzwi zaraz pękną.

-Hardy.

Odwrociłem się, za mną stała Annis z mniejszą kuszą i sztyletem. Uśmiechnąłem się do niej.

Siódme uderzenie. Deska w drzwiach pękła i zobaczyłem ostrze topora. Wycelowałem w otwór i nacisnąłem na spust.

-Aaaaaarghh - ktoś po drugiej stronie krzyknął, kiedy trafił go belt.

-Kurwa! Odejdźcie od otworu! Dom nie jest pusty! - zaczęli krzyczeć napastnicy.

Nadal próbowali wyważyć drzwi, ale tym razem trzymali się z dala od dziury. Zawiasy zaczęły się oblu-zowywać, aż w końcu drzwi puściły.

Wycelowałem i wypuściłem belt. Pierwszy który pojawił się w drzwiach padł na ziemię. Za nim stało jeszcze dwóch, kolejny wtargnął do mojego domu z toporem. Wyciągnąłem miecz.

Zamachnął się na mnie, a ja z łatwością odbiłem uderzenie i ciąłem napastnika w klatkę.

Kolejny stojący za nim pchnął widłami celując w mój brzuch. W ostatnim momencie wykonałem blok, zaczęliśmy się szarpać i nagle usłyszałem świst i w klatce widłaka utkwiał belt. Gnoj wrzasnął i puścił wi-dły sięgając rękami do pocisku. Podszedłem do niego i przebiłem go mieczem.

Odwrociłem się, za mną stała Annis trzymając kuszę.

-Hardy... -w jej oczach pojawiły się łzy.

Podszedłem do niej i objąłem ją rękoma.

-Już dobrze... shhh już dobrze...

Wtedy z pokoju Anny usłyszeliśmy kaszlnięcie.

-----

-Nie! Nie, błagam to nie ja! - usłyszałem krzyki zza ściany - Nie jestem szpiegiem! - zaszlochał więzień z celi obok.

-Wstawaj i stul pysk! - wrzasnął strażnik. - Wstawaj powiedziałem!

Usłyszeliśmy uderzenie i wrzask bólu. Żołdak przeciągnął młóćącego nogami więźnia na środek po-mieszczenia i przypiął do drewnianego krzesła. Biedak szarpał się i uderzał piętami o podłogę aż nie za-częły krwawić. Do pokoju wszedł wysoki, chudy mężczyzna, jego włosy przyprószone były siwizną, nosił czarną maskę której otwory na oczy zasłonięte były szklanymi kólkami. Ubrany był w długi płaszcz z czarnej skóry a w ręce trzymał walizkę z metalową kłódką. Podszedł do stołu przed biedakiem i położył na nim teczkę po czym delikatnie ją otworzył. Kiedy więzień ujrzał jej zawartość jego źrenice rozszerzyły się a usta otworzyły.

-Nie-e-e-e błagam... - zaszlochał - to nie byłem ja! To nie byłem ja do jasnej cholery! - Szarpnął się w krzesło, bez skutku.

-Ciiii, już dobrze - powiedział kat uspokajającym głosem sięgając po coś w teczce - Wszystko jest w najlepszym porządku - Mówiąc to wyciągnął z teczki dziwnie zagięty nóż.

Więzień zbladł jeszcze bardziej.

-Nie, nie, nie! Przestań! - zaczął się szarpać.

-Oj przestań. I tak nic ci to nie da. - Uśmiechnął się kat - A teraz bardzo grzecznie powiedz mi co robiłeś wewnątrz twierdzy.

-Jedzenie! Głodujemy! Potrzebowałem jedzenia!

-Pierwszy błąd! - W tym momencie kat uderzył głowicą sztyletu w dłoń więźnia. Usłyszeliśmy chrupnięcie, a biedak zawył.

Kiedy kat się odsunął ujrzałem, że palce przywiązanego był podniesione w dziwnych kierunkach, a środek dłoni wgnieciony, ręka wyglądała jakby została zespolona z krzesłem.

-Krzyczysz jakby ktoś cię torturował! - zaśmiał się z własnego żartu kat - już, już, powtórzę pytanie! uśmiech zniknął z twarzy oprawcy i zbliżył się do więźnia, łapiąc go dłonią za twarz - CO, ROBIŁEŚ, W, ZAMKU!?

-Kradłem na wszystkich bogów! Kradłem-e-em! - zająknął się.

-Łżesz! - wrzasnął kat i wyciągnął kolejne ostrze. - Co powiesz na... - złapał się za głowę i obszedł krzesło torturowanego jak gdyby pogrążał się w głębokich rozmyślaniach - hmmm, już wiem! - klasnął w dłonie - Teraz powieki! - uradowany podszedł do skazańca, który szarpał się i krzyczał.

Biedak próbował uciec głową od ostrza, ale pas na jego czole uniemożliwiał ruchy. Nóż zaczął powoli przecinać powiekę, a więzień wył, płakał i błagał, kiedy ostrze przechodziło przez delikatną skórę.

Nóż przeciął ostatni fragment trzymający powiekę.

-Jeśli nie powiesz mi teraz co tu robiłeś zacznę miażdżyć twoje stopy. - zagroził kat chichocząc i potrząsając nożem przed twarzą więźnia.

-Ja nic nie wie-e-e-em - płakał - Nic nie wiiiiieem, błagam przestań...

-A więc stopy! - pstryknął palcami - Wspaniale!

Zaczął zakładać urządzenie na nogi skazańca kiedy zorientował się, że coś jest nie tak. Poderwał głowę do góry i spojrzał w twarz siedzącego.

-Jesteś tam? - zapytał - O kurwa, zawału dostał... - spojrzał na strażników przy drzwiach. - Dawajcie następnego... - westchnął - Jacy ci ludzie słabi w dzisiejszych czasach, nawet nie zacząłem go skórować!

-Z której klatki? - zapytał żołnierz.

-Obojętnie.

I oczywiście musieli wybrać klatkę waszego drogiego Hardy'ego, tak jakby w pomieszczeniu nie było dwunastu innych kurwa klatek!

-Ty! Leżący! Idziesz z nami.

-Ale dlaczego ja? - zapytałem - Panowie ja nic nie wiem...

-Bo wyglądasz jakbyś i tak miał zaraz zdechnąć. - uśmiechnął się strażnik - Dawaj, chodź tu!

Spojrzałem przez okno, na zewnątrz wstawało słońce.

Żołnierze zaczęli przypinać mnie pasami do krzesła. Próbowałem powstrzymać trzęsące się ręce i nogi.

-No dobrze, kogo my tu mamy... - zjrzał do jakiejś księgi kat - zostałeś przechwycony razem z rycerskim orszakiem Tcheoda... Ciekawe.

Kat spojrzał w moim kierunku. -Wyglądasz na spiętego, coś nie tak? Za mocno cię przypięli? - Zapytał przekręcając lekko głowę.

-Jest idealnie - zmusiłem się do lekkiego uśmiechu - Wspaniale.

-Bardzo mnie to cieszy! A teraz, zabierajmy się do roboty. - znów klasnął w dłonie po czym odwrócił się na pięcie i podszedł do torby - A więc? Co robiłeś przy orszaku? - zapytał przeciągając lekko końcówkę każdego wyrazu.

-Spytali czy nie widziałem waszych patroli.

-I co odpowiedziałeś?

-Że nie widziałem.

-Świetnie, co jeszcze im powiedziałeś?

-Nic.

-Co tam robiłeś?

-Szedłem w stronę stolicy. - odparłem zgodnie z prawdą nadal z trudem powstrzymując nogi od drgawek.

-Widzisz coś mi tu nie pasuje... - zamyślił się kat - Uzbrojony po zęby mężczyzna rozmawiający z królewskim orszakiem...

-Nie mam nic wspólnego z rycerzami. - wycodziłem przez zęby.

-Pozwól, że się upewnię.. - uśmiechnął się diabolicznie kat - Zacznę od stóp i powoli będę przechodził w górę.

-Powtórzę, ja nic nie wiem - Kat mnie nie słuchał, wiedziałem jak to się potoczy. Mój oprawca będzie mnie torturował dopóki nie powiem tego co chce usłyszeć. Stwierdziłem, że nie ma sensu się męczyć, wolę zyskać na czasie.

-Dobrze, przyznaję się. - powiedziałem katu - Jestem szpiegiem na usługach Tcheoda.

Kat spojrział na mnie zaciekawionym wzrokiem.

-Tego się nie spodziewałem - odpowiedział - i co masz mi do powiedzenia, szpiegu? - czyli kat chce grać w tę grę, dobrze.

-Za dwa dni Tcheod wyśle oddziały z Dunstarn i północy aby odbić Darnan i pomóc Kartnar. Zmiażdży armię Eznara pod murami miasta z pomocą oddziałów klanów nadchodzących z północy i zacznie przesuwac się na wschód. - Muszę przyznać, że całkiem niezłe mi to wyszło... Powinienem częściej wymyślać historie...

-Bardzo interesujące... - stwierdził kat i podrapał się po głowie - masz dla mnie coś jeszcze?

I tu rozpoczyna się problem, jeśli powiem mu jeszcze jedną istotną informację może stwierdzić, że kłamię. Jeden szpieg nie powinien mieć dostępu do tyłu planów. Z drugiej strony, jeśli nic mu nie powiem zacznie mnie torturować. - Dowiedziałem się o czymś jeszcze... - teraz liczyła się dla mnie każda sekunda.

-Tak?

W oknie za plecami kata dostrzegłem buchający ogień.

-Słyszałem, że oddział zwiadowców ma dzisiaj zdobyć tą twierdzę.

- Kłamiesz. - powiedział tylko kat.

-Nie nie czekaj! - Przekręcił śrubę -Aaaarghh - poczułem jak metal wrzyna się w moje stopy.

-Ogień! - Strażnik wbiegł do pomieszczenia - Ataku... - strzała przeszła na wylot przez jego plecy.

Do pomieszczenia wszedł młody mężczyzna w kapturze i długim maskującym płaszczu. Widząc dwóch kolejnych strażników w pomieszczeniu, błyskawicznie napiął kolejną strzałę i przeszył nią pierwszego. Drugi dobył miecza i ruszył w jego kierunku, na co łucznik dobył swojego ostrza, zamarkował uderzenie z prawej strony, po czym wbił nóż w brzuch żołnierza.

Kat próbował uciec, ale chłopak rzucił mu w nogę nożem po czym podbiegł do krzesła i przeciął pasy.

-Jest twój - powiedział do mnie i od razu podbiegł do drzwi celi.

Byłem szczerze uradowany takim rozwojem spraw, zdjąłem ze swoich nóg miażdżarkę, po czym chwiejnym krokiem podszedłem do teczki kata. Słyszałem, że łucznik uwalnia Henry'ego, a ten serdecznie się z nim wita, padło imię Ordan. Ja zabrałem się za wybór narzędzia, którym uśmiercę kata. W teczce było wiele noży, ale moje zainteresowanie przykuł krótki hak. Mój oprawca próbował wyczołgać z pomieszczenia, dopadłem go zanim to zrobił. Wbiłem mu hak w ramię, zaczepiając się o obojczyk. Kat zawył,

wył tak gdy ciągnąłem go przez salę, do momentu gdy nie wrzuciłem go na zlane krwią krzesło.

-Witaj - powiedziałem z nienawiścią w głosie - zemsta skurwysynu - szybkim ruchem złapałem za dwa noże i przybiłem jego dłonie do fotela.

Kat zawył ponownie.

-Hardy? - usłyszałem głos młodego rycerza - Idziesz?

Kiwnąłem głową, rąbnąłem kata głównią jednego z pokaźniejszych noży po czym podbiegłem do chłopaka i zmieniłem go przy niesieniu Guntera, stwierdziłem, że w walce bezpośredniej może sobie radzić lepiej, zwłaszcza przy moim obecnym stanie.

Henry podniósł miecz jednego ze strażników i poprowadził nas do wyjścia. Na zewnątrz trwała walka, ludzie Tcheoda wtargnęli do twierdzy i zawzięcie tłukli żołnierzy Eznara.

-Pilnuj Guntera! - krzyknął do mnie Henry rzucając się na jednego z Lwów.

Młodziak szlachtał mieczem na boki mordując żołnierza za żołnierzem. Dawno nie widziałem takiego popisu szermierczych zdolności i szczerze ten chłopak bez problemu skroiłby mi dupsko w bezpośrednim starciu.

Usłyszałem świst, a za nim kolejny. Kuszniczy strzelali z wieży do ludzi Tcheoda, kilka bełtów przeleciało tuż obok Henry'ego. Lwy dostrzegły, że muszą zabić dzika i celowały w młodego rycerza.

-Gunter - powiedziałem do rannego - Mam dla ciebie ważne zadanie. - rycerz spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. - Udawaj martwego.

Nie czekałem na odpowiedź, złapałem za miecz i pobiegłem w kierunku murów. Wspiąłem się po drabinię i skierowałem w stronę wieży. Biegając tak słyszałem standardowe dźwięki tego typu starcia, wrzaski, szcęk mieczy, płacz i błaganie o litość. Odrobinę się zamyśliłem i niemalże nie zauważyłem dzierzążącego halabardę strażnika wieży widząc, mnie złapał mocniej dłońmi za uchwyt i ruszył w moim kierunku celując ostrzem w brzuch. Uniknąłem ostrza o cal, jednak żołdak był na tyle szybki, że uderzył mnie kijem w ramię. Na chwilę całą rękę złapał paraliż, ale zanim wróg zdążył zadać uderzenie ostrzem, przejechałem mu mieczem po bandziochu rozlewając jego flaki na kamieniach.

Wtargnąłem do wieży, słyszałem świst wystrzeliwanych bełtów, wbiegłem po schodach na górę. U szczytu schodów dostrzegłem żołnierzy, czterech, standardowy ubiór ludzi Eznara. Zdążyłem przebić jednego zanim pozostali zorientowali się o mojej obecności.

Wszystkie kusze zwróciły się w moim kierunku, przewróciłem stół i padłem za nim na moment przed naciśnięciem spustów. Bełty wbiły się w blat - Hardy myśl! - krzyknąłem do siebie w myślach. Było ich trzech, usłyszałem dźwięk naciąganych cięciw, rozejrzałem się po pomieszczeniu, na ścianie wisiała stara, ozdobna tarcza. Kolejna salwa niczym stado szerszeni ruszyła w stronę stołu. Kiedy bełty wbiły się w drewno wstałem i ruszyłem w stronę tarczy, zdjąłem ją ze ściany i z krzykiem pobiegłem na kuszników. Pierwszego, nie spodziewającego się takiego zwrotu akcji staranowałem z siłą która wyzuciła go przez okno wieży. Drugi zdążył dobyć miecza i uderzył, celując w mój lewy bok, zasłoniłem się tarczą, a ostrze w niej utknęło. Spojrzałem na żołnierza i na moment nim wbiłem miecz w jego pierś nasze spoj-

rzenia się spotkały, zabawne, w jego spojrzeniu dostrzegłem, że wiedział, wiedział jak bardzo ma przejebane. Ostatni zdążył napiąć cięciwę i we mnie wycelować, widząc to zasłoniłem się ciałem jego konażęcego kompana. Kuszniak wystrzelił i trafił swojego kolegę w plecy, na co ten krzyknął z bólu. Wyciągnąłem miecz i zamachnąłem się na kusznika przecinając go od lewego ramienia do prawego uda.

-----

-Pilnuj Guntera! - krzyknąłem do Hardy'ego i ruszyłem w wir swojej pierwszej bitwy. Kilkanaście metrów przed sobą dostrzegłem górującego nad resztą rycerza w czarnej zbroi, tego samego który poprowadził atak na moich towarzyszy. Zacząłem przebijać się przez rój czarnych lwów. Wszędzie widziałem tylko czerwień, ciąłem, rąbałem i tłukłem tych cholernych najeźdźców. Jedynym na czym mi teraz zależało było dotarcie do tego skurwysyna, który wybił mój oddział. Wszędzie dookoła słyszałem krzyki, plac roił się od ciał, czułem jak krople krwi chlustają mi na twarz kiedy szedłem przez Lwy. Nagle świst, spojrzałem w prawo, kusznicy z wieży, chciałem pobiec w tamtą stronę, ale nim zdążyłem to zrobić ujrzałem, że ktoś wspina się po drabinie - Hardy - pomyślałem i ku własnemu zdumieniu uśmiechnąłem na myśl o najemniku. Nie było czasu, wiedziałem, że wygramy, ale nie chciałem, żeby ktoś dotarł do wielkoluda przede mną.

Wyrznąłem sobie drogę pomiędzy żołnierzami i dotarłem do przywódcy. Dwuręcznym toporem przeciąłem właśnie w pół jednego z moich sojuszników.

-Rycerzyk! - krzyknął widząc mnie - Zobaczmy jak prezentują się zdolności tego słynnego „Rycerstwa Zachodu”!

Nie miałem ochoty na dialog, rzuciłem się w jego kierunku po drodze chwytając tarczę leżącą w błocie. Zamachnął się na mnie od góry, uniosłem tarczę pod kątem a jego topór się po niej ześlizgnął dając mi chwilę czasu, wbiłem ostrze miecza w jego stopę. Wielkolud zawył i uderzył mnie w klatkę płaską częścią topora. Odleciałem w bok, nie tracąc czasu, podniosłem się i ponownie ruszyłem w jego stronę. Tym razem ciął toporem od boku, schyliłem się przed uderzeniem, ale kiedy się podniosłem trzon siekiery uderzył mnie w głowę, padłem twarzą w błoto, oszołomiony. Nagle lew wrzasnął, coś wbiło się między jego łopatki, spojrzałem w stronę wieży, w jednym z okien ujrzałem Hardy'ego, uklonił się teatralnie i naciągnął cięciwę po raz kolejny. Wstałem i wykorzystałem chwilę zdumienia mojego oponenta uderzając go w okolicę żeber, przysiągłbym, że usłyszałem pęknięcie, od razu skierowałem ostrze w drugą stronę i ciałem z lewej strony w jego udo, przeciąłem mięśnie. Lew padł na kolana i zaczął dyszeć, próbował uderzyć mnie pięścią, rąbnąłem nadlatującą rękę płazem miecza, odrzuciłem broń i uderzyłem czarnego rycerza pięścią. Usłyszałem chrupnięcie miażdżonego nosa, nie tracąc czasu uderzyłem ponownie - Więźniowie zabrani z Avaron! GDZIE ONI SĄ?! - ryknąłem a gdy w odpowiedzi dryblas wyszczerzył zęby rąbnąłem go ponownie tak żeby już nigdy nie mógł ich zaprezentować. - GDZIE ICH ZABRALIŚCIE?! - Kapitan zachłysnął się krwią - GDZIE?! - Trzasnąłem go ponownie.

-Prze-estań - zająknął się, nie zamierzałem spełnić jego prośby.

Trzasnąłem go po raz kolejny - GDZIE!!

-Ina... Inaniss - wycharczał i wypluł krew.

Sięgnąłem po sztylet, uniosłem go nad głowę leżącego lwa, spojrzałem mu w oczy. Bał się, nie widziałem jeszcze takiego strachu w oczach człowieka, poczucie bezsilności, wiedza, że to już twoje ostatnie chwile.

- Ktoś-ktoś inny się tobą zajmie - powiedziałem i trzasnąłem wojownika głownią sztyletu.

Puściłem go i padłem w błoto obok, oddychałem ciężko próbując ignorować ból, czułem ciepłą krew spływającą mi po twarzy, czułem odór otaczającego mnie pola bitwy.

-Henry! - Usłyszałem jakby przez mgłę krzyk Ordana i strzała z furkotem przeleciała nad moją głową trafiając jakiegoś Endarczyka który jęknął z bólu i runął w błoto zaraz obok mnie. - Henry wstań, rusz się do cholery! - Ordan złapał mnie pod barki i spróbował podnieść.

Uniosłem się ale czułem jak gdyby moje nogi zrobione były ze słomy i ponownie runąłem kolanami w bieżę. Nie byłem w stanie nic zrobić, spojrzałem na przyjaciela otępiałym wzrokiem po czym skierowałem oczy na swoje dłonie. Dłonie całe we krwi, krwi której jak mi się wydawało, nigdy nie uda się zmyć.

Po dłuższej chwili krzyki ustały, pozostał tylko szum, dźwięk jak po przejeździe ciężkiej kawalerii, zagłuszał wszystko dookoła. Ja dalej klęczałem w błocie, wpatrzony w krew, nie widząc nic poza nią, szkarłatna kurtyna zasłaniająca mi świat. Przez przytłumione zmysły przebijał się jednak głos.

-Henry? - potrząsnął mną Ordan - Henry, wygraliśmy...

-Wy-wygraliśmy? - zapytałem zachrypniętym głosem.

Ordan kiwnął głową. - Tak, wygraliśmy.

-----

Walka dobiegła końca.

Żołnierze Tcheoda zbierali łupy i uwalniali więźniów. Z wieży widziałem klęczącego w błocie Henry'ego, obok niego kucnął zwiadowca, który nas uwolnił.

-Co teraz? - szepnąłem sam do siebie - Co mam teraz zrobić? Najpierw moje rzeczy.

Zszedłem z wieży, i skierowałem się do twierdzy, mijałem żołnierzy Tcheoda, odruchowo ściągając kaptur aby nie byli w stanie dostrzec mojej twarzy.

Przed pomieszczeniem więziennym stała skrzynia a w niej znalazłem mój sprzęt i mieszek.

-Te kurwie syny przynajmniej są na tyle zdyscyplinowane, że nie okradają więźniów - powiedziałem sam do siebie i skierowałem się do pokoju w którym zostawiłem mojego przyjaciela kata. Oprawca nadal siedział na krześle, jego dłonie oblepione były krwią, która powoli skapywała na posadzkę tworząc kałużę.

-Ilu? - zapytałem.

-Co-o?



-Ilu ludzi oprawiałeś przez lata.

Kat podniósł głowę a jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, gęba wypełniona była zniszczonymi, gnijącymi zębami - Nie jestem w stanie stwierdzić.

Uniosłem kuszę i przestrzeliłem kolano bydlaka, kat ryknął z bólu.

-Lepiej żebyś sobie przypomniał - powiedziałem napinając cięciwę.

-Nie-e wiem... - wyjęczał.

Kolejny pocisk wyleciał z kuszy trafiając w drugie kolano.

-Mniej więcej, na pewno coś ci świta..

-Siedemdziesięciu! Przestań do cholery! - po wykrzyknięciu tych słów spuścił głowę i szlochał cicho.

-Dobrze, siedemdziesięciu... - odwróciłem się i zdjąłem z haczyka przy drzwiach klucze. Chodziłem od celi do celi otwierając każdą z nich. - Jest wasz - powiedziałem do więźniów i upuściłem na posadzkę nóż. Idąc przez korytarze w stronę dziedzińca towarzyszyły mi dźwięki wymierzanej sprawiedliwości.

-----

Na zewnątrz żołnierze zbierali łupy na powóz i opatrywali rannych.

-Szybciej chłopcy! - rozkazywał jakiś sierżant - Jeszcze dzisiaj musimy ruszać do Dunstarn!

Zobaczyłem Henry'ego, klęczącego na ziemi, nad nim stał ten łucznik i chyba próbował go podnieść. Ruszyłem w ich stronę.

- Co planujecie dalej? - zapytałem młodych.

-Nie wydaje mi się abyś był... - zaczął Ordan.

Henry podniósł rękę aby go uciszyć. - Dunstarn - wychrypiał - A co ty masz zamiar zrobić...?

-Kierowałem się do stolicy, gdy trafiłem na was, wydaje mi się, że to po drodze więc myślałem o podróży z wami. Zresztą i tak potrzebujecie kogoś kto wie które żebra ma połamane Gunter.

-Skąd tak dokładnie wiesz, które żebra są połamane? - zapytał łucznik.

-Ja je łamałem - uśmiechnąłem się i wyciągnąłem dłoń - Hardy.

-Ordan - Chłopak przyjął uścisk.

Spojrzałem niepewnie na Henry'ego, nie wyglądał dobrze, siedział wpatrzony w pole bitwy jakby nie wi-

dział absolutnie nic poza nim.

-Mogę chwilę porozmawiać z Henrym? - zapytałem Ordana.

Zwiadowca spojrzał na swojego druha, a Henry pokazał mu ręką, żeby się odsunął.

-Pójdę poszukać jakiś informacji w komnacie naczelnika - powiedział Ordan i odszedł.

Wskazałem na ławę pod ścianą i skierowałem się do niej z Henrym.

-Nie wyglądasz najlepiej - stwierdziłem. - Pierwsza bitwa?

-Tak - odpowiedział krótko.

-Wiem jak to jest, kiedy człowiek chwyta za miecz i rusza do walki... przez ten krótki moment nie jest człowiekiem. Te same demony budzą się w każdym wojowniku, w każdym który walczy aby przetrwać - powtórzyłem słowa które wiele lat temu usłyszałem od mentora.

Henry spojrzał mi w oczy.

-Nie miałem nad tym żadnej kontroli... - znów spojrzał na swoje ręce. - To się po prostu działo, jakbym obserwował kogoś innego...

-Wiem - powiedziałem kładąc mu rękę na ramieniu - Ale zawsze pamiętaj o co walczysz, bo ty, masz o co walczyć - odparłem podając mu nasączony wodą kawałek szmaty.

-Dziękuję - Powiedział Henry i zaczął ścierać juchę z dłoni.

-Wiesz, że lwy zaatakują Dunstarn? - zapytałem.

-Wiem. I rozbiją się o jego mury... - odparł z nienawiścią i zacisnął pięści.

-Zbieramy się! - Krzyknął sierżant i wóz z rannymi ruszył.

-Czas ruszać. - Powiedziałem do Henry'ego i skierowałem się w stronę wierzchowców.

Po chwili odwróciłem się nie słysząc za sobą kroków młodzieńca - Henry?

-Nie wracam do Dunstarn... ruszam do Inannis.

Podszedłem do chłopaka - Po jaką cholere chcesz tam jechać? Eznar zajął miasto, właściwie to je odbił bo znajdowała się tam jego ambasada.

-Więźniowie znad Avaron, tam ich zabrali. Chłopak wstał opierając się na swoim mieczu i ruszył w stronę bramy.

-Młodziaku, radzę ci to przemyśleć - powiedziałem idąc za nim - jeśli tam pójdziesz, zginiesz, jeśli przeżyjesz, zostaniesz dezertorem. W każdym scenariuszu lądujesz w ziemi.

-Mój ojciec jest wśród tych ludzi. - stwierdził chłopak i zdjął torbę z zapasami zwiadowców z jednego z

juków.

-Nie możesz tego wiedzieć.

-Ale w to wierzę! - krzyknął odwracając się - Muszę, muszę w to wierzyć... Idź dalej Hardy, to nie twoja sprawa.

Zatrzymałem się a chłopak ruszył we wcześniej zamierzonym przez siebie kierunku. Miał rację, po co w ogóle za nim poszedłem? Odwróciłem się na pięcie i zgarnąłem drugą torbę z tych samych juków. Czas ruszać dalej, nic więcej mi nie pozostało. No to teraz po prostu... dotrę do stolicy... - Obejrzałem się w stronę w którą poszedł Henry, po chłopaku nie było śladu. Młodziak zginie, prawdopodobnie nie dotrze nawet do swojego celu. Żołnierze Eznara będą mieli ubaw... - Cholera jasna - powiedziałem sam do siebie - Cholera jasna... - Wiem co powiedziałaaby Annis, niemalże usłyszałem w mojej głowie jej głos, uśmiechnąłem się na tę myśl. Nie może iść tam sam, nie mogę mu na to pozwolić. Odwróciłem się znowu i poszedłem jego śladem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Alelogin, dodano 05.03.2019 13:47

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).